MILIONOWY.

Powieść z dzieł P. Zschokke.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Wyborne byłyto czasy, kiedyśmy się wieczorami, zwyczaynie raz na tydzień, u radcy Rederna zbierali. Nie znaliśmy, co to grać w karty: nie mówiliśmy ani pół słowa o pogodzie: nie obmawialiśmy bliźnich: nie było między nami owych nawet fircyków, co lubią nudzić i dręczyć całe towarzystwo, popisywaniem się ze swoim talentem w deklamacyi, śpiewaniu, lub muzyce; a zatém, bawiliśmy się bardzo wesoło. Rozmowa przelatywała z przedmiotu na przedmiot, i z każdego kwiatka zbierało się nieco miodu. Czyliśmy się zgadzali, czy różnili, w zdaniach, zawsze można było nazbierać pożytecznych wiadomości. Lecz naybardziey lubiliśmy słuchać, kiedy stary radca opowiadał, co się mu w długiém i doświadczoném życiu zdarzyło. Ja wiele jego powieści zapisywałem w moich pamiętnikach, i teraz dwie z nich umyśliłem tu podać; chociaż nie obiecuję sobie, żebym mógł z takim wdziękiem powtórzyć, z jakim je radca opowiadał.

Razu jednego wszczęła się rozmowa o Russo, filozofie francuzkim, o jego draźliwym charakterze, o jego wzgardzie ku bogatym i możnym, o jego dumném ubóztwie, o sprzeczności, jaka zachodziła, między jego dziecinną dobrocią, a nienawiścią ku ludziom.

Jedni bronili nieboraka filozofa, któremu świat



nie takim się wydawał, jakim jest w istocie; drudzy mu przyganiali. W rozmowie tey wypadło zagadnienie: jak ubóztwo i bogactwo działają na cnotliwego i niepospolitych zdolności człowieka, jakim naprzykład byłby Russo, gdyby go los odział purpurą, lub osypał beczkami złota. Każdy dawał swoje zdanie; a w tłumie myśli, zdarzały się niektóre wcale dowcipne.

Wtém odezwał się radca: „Teraz przyszło mi na myśl dwóch moich towarzyszów uniwersyteckich: jeden z nich dotąd jeszcze jest moim przyjacielem. Jeżeli historya życia każdego z nich, nie zupełnie przypada do naszego sporu; przynaymniey, dosyć stosowną bydź się zdaje. Zresztą obie są niepospolite, i dla tego mogą zasługiwać na opowiedzenie."

Zaczęliśmy więc słuchać.

Bankier i Kramarz.

„Kiedym odbywał nauki w uniwersytecie, zpomiędzy wszystkich spółuczniów moich, Kazimierz Morn, celował nad innych piękną postacią ciała, ochotą i pilnością do nauki. Wybornie umiał kilka starożytnych i terazniey-szych językow, pięknie pisał wiersze, śpiewał przyjemnie; a chociaż miał z domu znaczne dostarczenie pieniędzy, jednak prowadził się skromnie i spokoynie, unikał swawoli i złego towarzystwa. Co mu zbywało od potrzeb, obracał na utrzymywanie i lekcye niedostatnich towarzyszów; a sobie zostawiał tylko na wierzchowego konia; i to jedno dawało postrzegać, że był możnieyszym od innych. Jeszcze przed weyściem

do uniwersytetu, zwiedził ze swoim oycem, bankierem, większą część Niemiec, Włoch i Francyi: co bardzo ukształciło jego umysł i nadało dobry kierunek ochocie do nauk.

Na pół roku przed czasem jego wyyścia z uniwersytetu, przepędzałem wakacye w jego domu. Oyciec Morna mieszkał wspaniale w rezydencyi Elektora. Wszystkie znakomitsze osoby bywały u niego. Co do mnie, jako przyjaciel Kazimierza, byłem przyjęty mile i uprzeymie.

Nie daleko ogromnego gmachu Morna, stał opuszczony, stary, nędzny domek. Mieszkał w nim krąmarz Romanus, naywiększy sknera. Powszechnie mówiono, że on miał miliony; a jednak sam przedawał na łóty i funty kawę, pieprz, sér i tym podobne towary: bo nie chciał trzymać chłopca do pomocy. Piękna jego córka, Karolina, często wyręczając oyca, podobnież miarkami tabakę wydawała z kramu.

Kazimierz i śliczna kramniczka, mieszkając w sąsiedztwie, w czasie dziecinnych jeszcze igraszek spoufalili ku sobie; a przyjacielskie *ty* zostało między niemi, chociaż już dziećmi nie byli. Nie raz za to Kazimierz miał co słuchać od oyca: gdyż bankier był trochę dumny, i spodziewał się wyrobić dla siebie i syna, przywiley na szlachectwo. Kramarz podobnież mówił córce, że nie wypada tak postępować z młodym i bogatym synem bankiera: jednak wcale się nie gniewał, kiedy ten przychodził do jego kramu po rozynki i migdały, żeby się z Karoliną widywać. Ale jakże się można było gniewać? Wszak za każdą fraszkę gotowym się groszem płaciło.

Bawiąc czas niejaki w domu Morna, po-

znałem zblizka stosunki sąsiadów. Kazimierz przysięgał oycu, że z nikim się innym nie ożeni, tylko chyba z Karoliną. Była zmowa między kochankami. Karolina podobneż przysięgi swojemu oycu powtarzała. Kramnik śmiał się, a Bankier wzdychał.

Wreszcie już się zdawało, że oyciec Morna gotów był zezwolić. Kochał on syna; ale nie bez tego, żeby i milion pana Romanusa, nie miał w jego oczach cokolwiek wagi. Bogatszey żony dla Kazimierza w całém mieście nie było. Nakoniec poszła rzecz jak naylepiey. Bankier nie mógł powiedzieć ani słowa przeciw milionowi, różowey twarzyczce, błękitnym oczętom i złotawym włosom Karoliny. Z drugiey strony pomiarkował Romanus, że młody Morn łepski chłopiec, a interessa bankiera w naylepszym stanie. Dopiéroż zważywszy jeszcze, że Kazimierz miał dwadzieścia trzy lata, a Karolina szesnaście; że się oni całém sercem nawzajem kochali, i że już stanęło między nimi przymierze wierności do grobu i za grobem; zdaje się, że tylko wesela życzyć należało. Przynaymniey tak myśliłem sobie; ale stało się inaczey.

Romanus, dziwak niepospolity, nie chciał wierzyć, żeby jakiekolwiek zatrudnienie, rzemiosło, lub przedsięwzięcie, oprócz drobiazgowego kramarstwa, mogło bydź trwałem. Nauki u niego nic nie znaczyły; bankierstwo, igraszką szczęścia nazywał. „Naywiększe hrabstwo, powiadał, nie może bydź tak zyskowne i pewne, jak kram porządnie utrzymany.“ Przez takie przywiązanie do swojego stanu, utworzył dla siebie prawo

niezłomne, za nikogo innego córki nie wydać, tylko za kramnika.

Duma bankiera obarzyła się na tak śmiészny warunek. Kazimierz znaydował się w bardzo trudném położeniu: sama nawet Karolina, nie chciała tego, żeby jey luby całe życie pieprz w paczki zawijał. Spodziewała się ona, że czas przemieni sposob myślenia jey oyca. I ja podobnież myśliłem. Każdy z nas był tego mniemania.

Kazimierz przy swojem usposobieniu i zdolnościach, będąc synem bogatego oyca, mając znajomości u dworu, widział przed sobą nayświetnieyszą drogę życia. Dość było tylko zążądać, a naypierwsze mieysca w państwie, nie byłyby dla niego zbyt wysokie. Ministrowie już mu nawet cały zawod wskazywali. Wypadło mu przyjąć obowiązek referendarza, w wydziale sprawiedliwości, a za pierwszém zdarzeniem, każde wyższe mieysce pewnie go ominąć nie miało. Już i otrzymanie szlachectwa było napięte. Aż oto, ten nieszczęsny Romanus żąda i wymaga koniecznie, żeby Kazimierz, zostawszy jego zięciem, wyrzekł się wszystkich próżności światowych, mieszkał u niego, pieprz w paczki zawijał, ważył tabakę na łóty, i sztukami śledzie przedawał.

Niech sobie wyobrazi, kto może, przykre położenie dobrego Kazimierza.

Wiem bardzo dobrze, że we dwudziestym trzecim roku, dla młodey, milutkiey dziewczyny, można się na wszystko odw: żyć: rzucać się na okopy, śmierć, i niebezpieczeństwa mieć za nic, walczyć z samém piekłem; jeśliby tego potrzeba, przestawać na chlebie i wodzie. Ale

zostać kramarzem, kiedy jest nadzieja bydź znakomitym człowiekiem; przedawać funcikami pieprz i tabakę, zawijać w bibułę sér lub sledzie, to dla miłości własney majętnego młodzieńca daleko okropnieysza, niż śmierć, piekło i suchedni.

Bardzom się zdziwił, kiedy mi Kazimierz powiedział, że sam oyciec pocichu radził mu, oddać się na kapitulacyą, i przyjąć warunki dziwaka Romanusa. „Azaliż, rzekłem, ten sknera myśli sobie, że dla jego miliona, każdy uczciwy człowiek razem się z nim w pyle zagrzebie?“

Ale Kazimierz kochał się do szaleństwa. Postrzegłem, że gotów był całe życie liczyć kawę na ziarnka, byleby tylko otrzymać swoję boginią. Musiałem zamilknąć, bo nie można radzić zakochanemu. Jednakże dobra, szlachetna Karolina, sama sprzeciwiała się dogodzeniu oycowskim kaprysom. Ułożono nakoniec, żeby Kazimierz przebył drugie półrocze w uniwersytecie, a tymczasem miały bydź ze wszech strón użyte starania, na ubłaganie dziwacznego tatula. Na wszelki przypadek, był w pogotowiu zapas mdłości, łez i pozorow chęci rozstania się z życiem.

Jak ułożono, tak się i stało. Jak tylko wakacye skończyły się, pojechalismy znowu do uniwersytetu.

Bankier w nieszczęściu.

Karolina pisywała listy bardzo pilnie; Kazimierz wiedział o każdym jey kroku; a chociaż nie widać było, żeby cokolwiek mogło odprowadzić oyca od jego niesłychanych dziwactw, je-

dnak nie traciła nadziei. Oddając się lubym marzeniom, zawsze kończyła listy, temi pocieszającemi wyrazami: „Zresztą, wszakże mi jeszcze rok szesnasty, a tobie tylko dwudziesty trzeci.

We cztery miesiące potém, Kazimierz jednego ranku przyszedł do mnie z twarzą zmienioną. Odebrał list od oyca, i w złocie dziesięć tysięcy złotych. „Nic ci już więcey dać nie mogę" pisał bankier do syna: „to jest cały twóy majątek. Zbankrutowałem i muszę uciekać. Udam się przez Anglią do Indyy Zachodnich. Bóg wié, czy się kiedykolwiek zobaczemy z sobą!"

Łacno się domyślić, że ta nowina nie była mu przyjemną. Przysłane dziesięć tysięcy złotych nie wynosiły, ani trzeciey części tego, co na Kazimierza po matce spaśdź powinno było. Chciałem go pocieszać; ale on pociągnął sobie dłonią po twarzy, jakby chcąc zetrzeć smutek, i rzekł: „Nie zawstydzay mię! czyliż sądzisz, że mię ubóztwo zasmuca, albož i w tym losie nie znaydę pociechy dla siebie? Nie, ja nie uważam ubóztwa za nieszczęście, mnie tylko niespodziany wypadek przeraził. Nie szukay słów na moję pociechę, to byłoby krzywdą dla mnie. Dziś tylko postaray się mię rozerwać, a jutro, nie będzie już tego potrzeby.

Kazałem osiodłać konie, jeździliśmy wiele i prędko. Potem zaprosiłem kilku przyjaciół na poncz do siebie. Rozweselił się móy filozof, opowiedział wszystkim historyą zmiany swojego losu, żartował ze swojego ubóztwa, i dodał: „jutro pomyślę, co mi przedsięwziąć wypadnie." Wszyscy się dziwili, wszyscy ubolewali nad jego położeniem, wszyscy nakoniec poprzysięgli jemu

przychylność i wierność do końca życia. Jeden tylko z uczniów, młody Engelbert, naylepsza głowa wtenczas pomiędzy nami, zbliżył się do niego i rzekł z uśmiéchem: wszyscy ci głupstwa prawią. Ja tobie winszuję, bracie, żeś się pozbył znikomego dobra. Teraz poznasz prawdziwą wartość samego siebie. Miliony, pan możny, śliczna dziewczyna, wszystko to są takie rzeczy, że nie można z pewnością powiedzieć: czy się znayduje w nich jaka wartość, oprócz trzosu pieniędzy, świetnego mieysca i gładkiey twarzyczki.

Nie wszyscy zgadzali się z Engelbertem: ja sam nań poglądałem, jak na młodzika obłąkanego urojeniami, osobliwie kiedy daley tak mówił: „Napiszę dzieło: ják należy państwo urządzić. Według mojego sposobu widzenia rzeczy, wszyscy słabi, niedołężni, kalecy, oraz starzy ludzie, którzy koniecznie spokoynego życia potrzebują, powinni dostawać naywięcey pieniędzy, a po ich śmierci, cały ich majątek, do skarbu wracać powinien. Przeciwnie zaś bogatym, to jest młodym i wszystkim tym, co mają głowę i serce na mieyscu, ani grosza dawać darmo nie należy. Niech pracują i zarabiają na swoje potrzeby. Wtenczasto mogłoby nastąpić cóś wielkiego: wtenczasbyśmy i Spartę przewyższyli. Znakomitsze w państwie osoby, wodzowie woysk, naczelnicy duchowieństwa, musieliby chodzić w grubém i prostem odzieniu, mieszkać w domach pospolitych, żywić się prostym pokarmem, żeby każdy widział czém są w istocie, i żeby lud nie oślepiał się ich blaskiem. Naymędrszy, naycnotliwszy, naywalecznieyszy, byłby uważany za naybogatszego, bo takim jest wistocie. O,

w mojey rzeczypospolitey platoniczney, biedni powinni bydź milionowymi. Tak, a nie inaczey, należałoby wszystko urządzić. Ale żyjemy w takim wieku, kiedy pojęcia idą na opak. Dobrze jeszcze, że Opatrzność czuwa i przywodzi do porządku świat do góry przewrócony, żeby się nie popsuł zupełnie. Powiadają: szczęście ślepo rozrzuca dary; głupcom skarby daje, a talentom i zasługom kiy żebracki. Ale ja mówię, że w tém jest mądrość Bozka i prawdziwe zachowanie równowagi środków.

„Co! zawołał jeden ze słuchaczów, jabym miał za nic pracować? A na cóż mi zdolności, kiedy przez nie, ani sławy, ani bogactw nabyć nie mogę?“

— „To jest — odpowiedział engelbert, ty chcesz złotym rydlem piasek kopać. Takim sposobem, sam sobie nakoniec w łeb zapalisz.

„Ja nie szukam ani sławy, ani bogactw, rzekł Kazimierz, i trzymam się zdania Engelberta. Niech sam w sobie mam wartość moję, przestanę na tém, jeżeli tylko będę słusznie ceniony.

— „Nie, krzyknął Engelbert, ty nie zgadzasz się ze mną. Gdybym świecił jak słońce, niech cały świat mówi, żem czarnicyszy od węgla, cóż mi do tego? Nikt z ludzi nie dba o innych; wszyscy przez słabość umysłu są samolubami. Dla tego należy ich kochać przez litość, przez użalenie.

„Nie, odpowiedział Kazimierz, człowiek sam przez się jest dobry, obdarzony duszą wzniosłą, i przeto go kocham. O, niechiałbym żyć na takim świecie, jakim go ty uważasz.

— „Biedny Morn! rzekł Engelbert; urodziłeś się więc zupełnym mizantropem.

Tu się i ja wtrąciłem. Ey, moi przyjaciele, rzekłem, sprzeczacie się, sami nie wiedząc o co. Świat ani jest tak dobry, ani tak zły, jak wy go chcecie wystawić. Wszystko tajemnica pokrywa: dziś słota, jutro pogoda. Bądźcie rozsądnieysi, uważaycie świat takim, jakim jest w istocie, nie zaś, jakim wydaje się w waszych urojeniach. Przytém, we wszystkiém miarę zachować potrzeba; środek zawsze jest naylepszy.

Engelbert śmiejąc się zbliżył się do mnie, pogładził mię po głowie, jak dziecie, za roztropne słowko: potém wziął swoję szklankę z pończem i przytykając do moiey: „Redern! rzecze, wyborny z ciebie chłopczyk. Ty średnią swoją drogą popłyniesz razem z tłumem: będziesz cieszył się z nowey sukienki, będziesz płakał nad pękłym bąbelkiem mydlanym, i pewnie ani wiele złego, ani wiele dobrego nie poznasz w życiu.

Tę rozmowę przytaczam tylko dla tego, że poźnieysze wypadki uczyniły ją godną uwagi. Engelbert, jak wieszczek natchniony, dosyć trafnie wszystkim nam przyszłość przepowiedział.

Kazimierz po upadku swojego oyca, odebrał wiele listów ubolewających i pocieszających. Karolina także starała się go pocieszać. Teraz już i ona myśliła, że lepiey jest uledz woli Romanusa, zostać kramnikiem, i tak żyć, póki stary żyje; a potém rozrządzać sobą, jak się podoba.

Kazimierz powróciwszy do rezydencyi Elektora, znalazł dom i cały majątek oycowski sprzedany, a i tak jeszcze wielu wierzycieli było nie

zaspokojonych. Całe miasto krzyczało na nierozważnego bankiera, i ubolewało nad jego synem, tak wielkich nadziei.

Naprzód, ma się rozumieć, Kazimierz odwiedzał Romanusa w zamiarze spełnienia jego woli, i zajęcia się zwijaniem paczków w okopciałym smrodliwym kramie. Takiey ofiary była godna złotowłosa Karolina, chociażby nawet miliona nie miała w posagu. Dla niey odważyłby się Kazimierz na całe życie pogrążyć się w kopalniach Potozy, albo do śmierci bydź flisem na Dunaju.

Lecz inne czasy, inne obyczaje! Romanus z grubijaństwem odprawił skromnego kawalera. Ale też nie żarty — ośm tysięcy talarow przepadło kramnikowi u Bankiera Morna.

Romanus ciągle jeszcze cieszył się tą nadzieją, że może Kazimierz za swoim powrótem wynagrodzić mu tę stratę. Lecz kiedy się Kazimierz ukazał i wyznał otwarcie, że sam stracił większą część macierzystego wniosku, kramnik uśmiéchnął się, poprewił sobie na głowie wytartą perukę, i rzekł do niego: „Nie, móy bracie, mnie nie zamydlisz oczu! O, ja znam dobrze twojego oyca, to kręta sztuka! Natychmiast gotów jestem póyśdź o zakład, że on dawno już pomyślał o sobie, (to mówiąc Romanus, pięścią prawey ręki przyciskał do lewey dłoni, jakby licząc pieniądze) da się widzieć. Nie zadługo pan dobrodziey staniesz się pierwszym bogaczem w całey okolicy.

Kazimierz wzruszył ramionami, przekonywał, że jego oyciec nie jest tak bezsumniennym oszustem, i chcąc zaspokoić Pana Romanusa, ofiarował mu swoich dziesięć tysięcy złotych, by-

leby tylko on raczył nazwać go zięciem, i przyjąć za pomocnika do kramu.

Romanus widząc, że w istocie Kazimierz nie może mu wypłacić ośmiu tysięcy talarów, poczuł chętkę dostania w ręce, choć dziesięć tysięcy złotych, i oświadczył to żądanie, nie wspominając ani słowa o małżeństwie. Czyliż podobna było, żeby Morn przystał na to?

„A z czegoż ja żyć będę?" rzekł Kazimierz.

„Eh, móy kochany! zawołał Romanus, jesteś człowiek uczony: możesz sobie znaleźć mieysce pisarczyka. A ja, nieszczęśliwy, zabity człowiek, jeżeli nie odbiorę swoich pieniędzy, zginę do reszty, będę musiał dóm i kram porzucić, i z moją córką nieboraczką, żebrzéć jałmużny pod cudzemi drzwiami.

„Kiedy tak! krzyknął Kazimierz, biérz więc moje dziesięć tysięcy, a mnie odday Karolinę. My sobie znaydziemy kawałek chleba. Przez pracę i oszczędność odzyszczemy cośmy stracili. Będziemy przestawali na swojém, i będziemy szczęśliwi.

Kazimierz mówił z taką szczerością i zapałem, że kramnik długo, siedząc nieporuszony w milczeniu, patrzał na niego, a potém zawołał: „Co! jeszcze się cieszysz, jak widzę, że szanowny tatulek niegodziwym sposobem opustoszył moje kieszenie! A to już za wiele! I ja miałbym oddać moję córkę WPanu, i jeszcze karmić Jegomości. Do nóg upadam. Nie, móy dobrodzieju, choć oyciec waszmości do ubóztwa mię przyprowadził, jednak żebrackiego małżeństwa potwierdzać nie myślę. Czy nie łaska za drzwi, i naypokorniey upraszam, żeby odtąd ani noga jego

w moim domu nie postała. Zdaje się jak gdybym ja dla takich oberwanych hołyszów córkę moję hodował!

Taki był koniec tego swatostwa.

Nadzieja i Pociecha.

Gdziekolwiek Kazimierz przychodził, wszędzie słyszał przyklęstwa na swojego oyca, ci nawet, co wprzódy mu na wyścigi jeden przed drugim pochlebiali, stali się teraz nayzłośliwszymi nieprzyjaciołmi. Wśrzód tylu zgryzot, wiadomość z Antwerpii o śmierci nieszczęśliwego oyca, prawie ulgę mu przyniosła. Bankier umarł z zapalenia, nie szukając ratunku, zapewne umyślnie, żeby się pozbyć życia, które było mu ciężarem. W istocie odtąd nie tyle przeklinano Morna, a syn jego więcey wzbudzał politowania.

Kazimierz nie rozpaczając czekał, aż się burza w mieście nie uspokoiła, a potém udał się do pierwszych przyjaciół swojego domu, do ministrów i osób znakomitszych. Żaden z nich nie odmówił mu przystępu do siebie: dano mu nawet przyrzeczone mieysce referendarza. „Prowadź się WPan dobrze, rzekł minister, ucz się prawa, obeznaway się z porządkiem służby, a przy zdarzoney okoliczności nie zapomnę o WPanu. Teraz zapewna, jako nowy referendarz, musisz pracować bez zapłaty; ale za rok, jak się spodziewam, albo za lat parę, opatrzymy WPana należycie. Wszakże jesteś młody: cóż możesz począć we dwódziestym czwartym roku?“

Te słowa ministra tyle znaczyły, co pocieszenie z ust rodzicielskich. Kazimierz zajął się u-

rządzeniem swojego sposobu życia. Najął mieszkanie w porządney kamienicy, naprzeciw wspaniałego domu, niegdyś do jego oyca należącego. Mniey mu był przyjemny smutny widok pomnika znikłey możności, jak słodkie dla serca sąsiedztwo Karoliny Romanusówny. Prawda, że stary kramnik nie pozwolił mu ani nogi za próg swóy przestawić; ale spóyrzeniem odwiedzać Karolinę, każdemu było wolno.

Te odwiedziny spóyrzeniem, odbywały się z obustron bardzo serdecznie. Nie raz ona myślą przenosiła się do jego pokoju, który przy blasku słonecznym zupełnie mogła obeyrzeć ze swojey małey komórki. Prędko każdy w nim kątek stał się jey znajomym. Widziała, kiedy luby z domu wychodzi, kiedy powraca, kiedy pracuje, kiedy wesoły, lub smutny. On też wiedział o niey nawzajem. Latem stała lub siedziała przy drzwiach kramki; w zimie nie odchodziła od okna. Zaczęli rozmawiać z sobą na migi, i przez rok tak się wydoskonalili w tym języku, że wszystko mogli wyrazić sobie, o czém myśleli, czego chcieli, czego się spodziewali, albo lękali, do tego usta wcale nie były im potrzebne.

Kazimierz ciągle miał nadzieję. Karolina ciągle go cieszyła. Kiedy rok minął, ona mówiła: „Wszakże mnie lat ośmnaście, a tobie dwadzieścia pięć tylko“ Nic pewnieyszego! Jeszcze czas nie uciekł. Kazimierz pracował bez ustanku, grzecznym był i nadskakującym dla każdego; z całey siły robił rejestra, rachunki, kommunikacye, projekta i t. d., i t. d. Częstokroć ten albo ów naczelnik, chlubił się z jego roboty. Za to wszyscy go lubili, chwalili jego umiejętność, radzili się

u niego, zapraszali go na obiady, bale, wieczory, pikniki. Wszystkie piękne dziewczęta na młodego referendarza poglądały mile: bo też i niepodobna było inaczey: gdyż jak Sylf tańcował: śpiewał, jak sam Apollo; deklamował, jakkrótko mówiąc, wszysko w nim zdawało się nadzwyczayném, jak w pewnym wieku, pewnym ludziom, w pewnych ludziach, wszystko zdaje się nadzwyczayném. Nie zawodnie Morn otrzymałby jeszcze we dwódziestym piątym roku, bardzo piękne i zyskowne mieysce, gdyby miał uszy na słuchanie niektórych projektów, dosyć wyraźnie i zrozumiale podawanych; albo oczy, na przypatrzenie się zblizką téy lub owéy uprzeymého pani. Ale, że miał uszy i oczy tylko dla lubey sąsiadki, dla tego i we dwódziestym szóstym roku zostawał jeszcze bezpłatnym referendarzem: „I cóż to znaczy? mówiła Karolina, wszakże tobie lat dwadzieścia sześć, a mnie dziewiętnaście tylko. Możemy poczekać jeszcze.“ Kazimierz tak był niewymyślny, że przestał na szczęściu, kochać i bydź kochanym.

Ale bo też nie można było, żeby nie przestać na tém. Karolina jaśniała w zupełnym kwiecie wieku, i nie znała podobney sobie piękności. W mieście i na dworze mówiono o niey. Młodzi xiążęta lubili piechotą przechodzić mimo kramu, żeby złowić spoyrzenie ładney kramniczki; dworzanie zabierali znajomość z okapcaniałnym sknerą i starali się na jego przyjaźń zasłużyć. W istocie, piękność Karoliny, przy milionie posagu, zasługiwała na złożenie u nóg jey wszystkich zaszczytow jenealogicznych. Ale ani xiążęta, ani hrabiowie, ani baronowie; ani cywilni, ani woy-

skowi, ani tayni, ani nadworni, ani honorowi, ani inni, jacy tylko bydź mogą radcy, nie mogli zjednać serca starego kramnika albo czarującey jego córki. Z jedney strony, żaden z nich nie mógł odważyć się na to, żeby zasiąśdź w kramie, mydło i szuwax przedawać; z drugiey, Karolina, tak obojętnie i zimno poglądała na tych ichmościów, jak na drewnianego araba z długą lulką, który na widok całemu światu był wystawiony w kramie.

Wszystkie jey uczucia i wdzięki, uprzeymość, miłość, uśmiéch ożywiony, należały do jednego ubogiego referendarza, którego jey serce wybrało, i który całą pociechę w tém znaydował.

Dwadzieścia.

Pomimo tey pociechy, dobry, pilny Kazimierz często jednakże oczy zachmurzał, uważając, że rok po roku przemija, a stary Romanus, zawsze takiż stary Romanus i jego serce zgoła nieporuszone. Nie mniey też i nad tém ubolewał, że niczego się nie mógł dosłużyć. Czuł jakąkolwiek wartość samego siebie; ale inni wszystkie jego prace jakby za nic mieli. Każdy wprawdzie oddawał sprawiedliwość zupełną, że Morn wyborny człowiek, doskonały pracownik, rozumna głowa, nie lada kto równie uczony. Taki był głos powszechny, a nawet często własnych jego uszu dochodził. Ztém wszystkiem, kiedy się jakie mieysce znalazło, nikt ani wspomniał o wybornym człowieku, doskonałym pracowniku, rozumney głowie; każdy myślał o synalu, o krewnym, o

kuzynie;a wszyscy panowie protektorowie, jedni drugim pomagali, swoich naprzód wysadzać. Młodziki, mniey zasłużeni, mniey usposobieni od Kazimierza, chwytali mu zpod nosa zaszczyty jemu właściwie należne. I kiedy się Morn uskarżał na to, zżymano ramionami, obwiniano innych o nepotyzm (*) i niesprawiedliwość; cieszono go *przyszłym razem* i tak się kończyło. Niektórzy zaś, słysząc jego narzekania, dziwili się nawet, że śmié tak zuchwałe rościć żądania, własnie jak gdyby był im równym, z urodzenia i majątku, jak gdyby miał również rozległe związki. Kiedy który potrzebował pomocy, każdy szedł do Morna, i jego zdolności miały wtenczas szacunek; minęła potrzeba, wnet o wszystkiém zapomniano.

Morn, pomimo całego swojego rozumu, był jednym z tych powolnych ludzi, z którymi zawsze nayłatwiéy przyyśdź do zgody, chociażby nayczęściey wyrządzać im krzywdy. Jak grający w ślepą babkę z zawiązanémi oczyma, tak oni na świecie dają się łudzać samolubóm i wykrętaczom jedném ścisnieniem ręki, jedném słówkiem pochlebném, i gotowi rzucić się na ogień za tego, kto ich wyśmiéwa zaszedłszy im z tyłu. Nie mają oni wyobrażenia o bezczelności tych kuglarzy, co to nazywają się umiejącymi żyć na świecie; nie poczytują za podłość tey zbyteczney uniżoności, jakiey ci ichmość dla dopięcia naybłahszych zamiarów używają. Morn, większą

(*) Nepotyzm, od łacińskiego *nepos*, znaczy wysadzenie na urzędy swoich krewnych i przyjacioł przed innymi. Wyrażenie to wzięło swoje nastanie od Papieżow, których krewni nazywają się Nepotami.

część ludzi za słabych tylko, w gruncie zaś duszy za dobrych uważał: ponieważ oni cudze cnoty naysurowiéy oceniali. Wszystko dobre łatwo przyznawał, o wszystkiém złém powątpiwał zawsze. Dla niego było rzeczą nieodbitą, czuć, że żyje w moralnym świecie.

Cierpliwie zatém znosił los swóy okrótny. Drogo ceniąc to lube przekonanie, że jest kochanym i poważanym, sądził, że przez to słuszność odbiéra. A że nie dawano mu dobrego miéysca, że innych przekładano nad niego, uważał to za niesprawiedliwość; a jednakże skrycie winę przypisywał samemu sobie. Mniemając bowiem, że zasługi same mówić za nim powinny, nie ubiegał się o łaskę panów: bywał u nich wtenczas tylko, kiedy obowiązek tego wymagał: czasami przez żywą szczerość zbyt otwarcie wygadał się w rozmowach: starał się uchodzić za bogatszego, niżeli był w istocie, żeby nim nie pogardzano: bo w tym względzie ludzką słabość znał doskonale: nie dziw więc, że ten, co się uboższym wydawał, albo był natrętnieyszym, prędzey na wyższe mieysce postępował, a on zawsze siedział na swojem.

Jeżeli zaś kiedy nie żartem smucił się nad swojém położeniem, tedy pocieszający wzrok Karoliny znowu go ożywiał—„Cóż takiego?" rzekła ona w dzień urodzin jego, w miesiącu marcu, kiedy miała zwyczay przypinać mu do piersi pęczek pierwiosnków podśnieżnych: „wszakże tobie jeszcze lat dwadzieścia siedm, a mnie dwadzieścia.. — Wyraz *dwadzieścia* bardzo przeciągle z ust jey wychodził. Zamyśliła się nieco, czy nie zawiele wyrzekła. Dwadzieścia,

zawsze zbyt niedelikatny, zbyt przeciągły wyraz, dla dwódziestoletniey dziewczyny.

Dotknął on i dobrego Morna— może dla tego, że głos Karoliny w tym razie bardzo się zniżył i przytłumił. Kazimierz powróciwszy do swego pokoju wpadł w zły humor. Ale cóż poradzić? Dwadzieścia, zawsze było dwadzieścia; i można było przewidywać, że stary Romanus jeszcze i za drugie lat dwadzieścia nie zmieni swego postanowienia. „Tymczasem wdzięki Karoliny uwiędną"—szeptał Kazimierz z westchnieniem „a ja będę starym kawalerem"

Rzucił się w kąt swojey sofy i gorzko zapłakał.

Lepsze widoki.

Zapukano do drzwi. Służący taynego radcy Biterblata wszedł z oznaymieniem, że jego pan, ma cóś pomyślnego powiedzieć P. Mornowi, i chce go widzieć u siebie.

Biterblat był zaufanym powiernikiem starego Elektora, a zatém te zaprosiny wielki czyniły zaszczyt Kazimierzowi. Pełen ciekawości i nadziei pobiegł natychmiast do niego.

Przyjęto go bardzo uprzeymie. P. Biterblat miał szczególnieyszy dar obchodzenia się z podwładnymi, niezmiernie łaskawie i poprzyjacielsku, kiedy chciał ująć ich sobie; a bardzo dumnie i pogrubiańsku, kiedy się nie dosyć przed nim płaszczyli. Stąd wynikało naturalnie, że tyleż bojaźni, ile pogardy wzbudzał. Morn nawet, uważał go za magnata, nie zawsze umiejącego obchodzić się z ludźmi.

Po pierwszych grzecznościach P. Biterblat rzekł do Kazimierza: „Podobało się J.X.Mości w nowo nabytych krajach, wydział finansowy urządzić, ile można, na wzór będącego w Elektorstwie. Chodzi więc o to, żeby obeyrzeć i opisać rozmaite dobra, zaprowadzić w nich rząd, podobny do tuteyszego, zrobić wiadomość o podatkach, jakie się tam pobierają i wykazać sposoby powiększenia niektórych gałęzi dochodu. J. X. M. raczył ustanowić osobny komitet w tym celu. Czynność nie łatwa! Dway przeznaczeni do komitetu radcy nadworni, są już podżyli, i za cały rok tego nie spełnią. Cokolwiek przeciw temu wyborowi mówiłem, było napróżno. Są to starzy i wierni słudzy, którym przez to chciano cześć okazać. Prezydentem kommissyi—może dla tego, żeby choć iskrą ognia te węgle ożywić—podobało się J.X.M., pomimo mego życzenia, mianować mojego syna, radcę celnego, podwyższając go na radcę dworu. Wszakże wiész, móy kochany referendarzu, że się Elektorowi w żaden sposob sprzeciwiać nie można. Móy syn, słabego zdrowia: czynność kto wié dopóki się przewlecze: a to bydź nie powinno. Dla tego życzyłbym, żebyś ty, móy miły, zajął mieysce sekretarza kommissyi. Będziesz miał porządne pieniądze stołowe, a jeżeli móy syn, przy twojey pomocy, zasłuży na pochwałę J. X. Mości, wtenczas będzie naylepsza zręczność wspomnieć Elektorowi i o twoich, tak licznych, zasługach. Ja zaś z mojey strony mam już upatrzone dla ciebie w nowonabytym kraju, wyborne, jedno z naylepszych mieysce.

Morn, co łatwo się domyślić, nie odrzucił

tego projektu; chociaż wszystko zrozumiał doskonale. Dway staruszkowie, na członków kommissyi wybrani, byli ludzie ograniczeni. Poruczona czynność przewyższała ich pojęcie. Do nich należało tylko zaymować krzesła, żeby się tém świetniey pan prezydent okazał. Młody zaś radca Biterblat, który przed dwoma laty wyszedł z uniwersytetu, jeszcze mniey znał się na porządku tych rzeczy. A zatém cała nadzieja na sekretarzu Mornie. To go tém mocniey cieszyło. Szczęście zdawało się uśmiéchać do niego. Ze smutkiem wprawdzie pomyślał o rozstaniu się na długi czas z lubą sąsiadką; ale niepodobna było opuścić tak pięknego zdarzenia.

Przytém i w obiecanych pieniądzach stołowych, niemałe widział wsparcie dla siebie. Służąc dotąd bezpłatnie, jakkolwiek ograniczał wydatki, zawsze mu jednak samych procentów nie wystarczało: musiał więc co rok poruszyć część kapitału, a tak i procenta, co raz się zmnieyszały, coraz ubożał.

Pożegnał się z Karoliną. Mocny pocałunek natchnął go męztwem do znoszenia cierpień rozłąki. Wyjechał z kommissyą, i ożywiony nay milszémi nadziejami, zaledwo przybył na mieysce, zaraz wziął się do czynności. Ma się rozumieć, że wkrótce zaczął pisywać do piękney córki srogiego kramnika, i wzaiemnie od niey listy odbierać. Przed wyjazdem obmyślili sposob, żeby się papa Romanus nie dowiedział o tém. Kazimierz płacił za pocztę; jego luba nie mogła rozrządzić ani jednym graycarem, bez wiedzy szanownego tatusia.

Kazimierz zupełnie tak samo przepędzał chwi-

le w główném mieście nowey prowincyi, jak w stolicy Elektora. Pracował usilnie, mało zabierał znajomości, żeby pieniędzy nie tracić napróżno; wolnym czasem chodził na przechadzkę; a potém siedząc u siebie czytał listy kochanki, albo pisał do niey.

Zdarzenie nastręczyło mu przyjemnego towarzysza. W domu zajezdnym, gdzie Kazimierz stanął, przyległy pokoy zaymował jakiś cudzoziemiec, który, jadając z nim razem u stołu, nigdy nie przemówił ani słowa, a powróciwszy do swojego mieszkania przechadzał się wzdłuż i wpoprzek aż do północy. Czasem zdawało się Kazimierzowi, że głośno przemawiał sam do siebie i niekiedy płakał żałośnie. Ten sąsiad, przystoyny, młody, bardzo grzeczny, lecz zawsze smutny mężczyzna, miał dwóch służących i, jak się ze wszystkiego okazywało, był znacznego urodzenia.

Skoro się Kazimierz dowiedział, że ten cudzoziemiec był Anglikiem, nazywał się Dunkan, już od dwóch tygodni bawił w mieście, wcale nie starając się poznać ani miasta, ani jego mieszkańców: zaczął jednego razu mówić z nim po angielsku. Przyjemną było rzeczą Mornowi czémkolwiek rozerwać cudzoziemca, może i bardzo nieszczęśliwego, a przytém mieć zręczność doskonalenia się w języku, mało używanym.

Anglik, słysząc dzwięk oyczystey mowy, z radośném podziwieniem spóyrzał na Kazimierza, odpowiedział łagodnie, i znowu zamilkł. Jednakże u stołu często rzucał ciekawe spóyrzenie na Morna, a po obiedzie, zbliżył się do niego, i wziąwszy za rękę, rzekł scicha: „Niech pan pozwoli kilka słówek powiedzieć do siebie.”

Kazimierz zaprowadził go do swego pokoju, i Dunkan tak zaczął. „Nie dziw się, panie, że tak jestem natrętny; ostateczność przymusza mię do szczególnieyszey prośby. Nie wiém dla czego nie przysyłają mi pieniędzy. Zapewna listy moje nie doszły. Muszę jechać do Amszterdamu, a nie mam nawet czém się tu opłacić. Pojazdu przedawać nie chciałbym. Czy nie możesz udzielić mi stu luidorow. Chętnie oddam je z procentem, jak tylko możność mi pozwoli.”

Kazimierz zmięszał się nieco; jednakże natychmiast odpowiedział: „Teraz nié mam tyle; lecz naydaley za dwa tygodnie, będę mógł tą sumką usłużyć panu.“

—„Dobrze, ja poczekam, rzekł Anglik, wyprowadzisz mię WPan z nayprzykrzeyszego położenia. Będę mu wdzięcznym.“ Uscisnął potém Kazimierza i wyszedł.

Cała rozmowa nad pięć minut nie trwała. Wtenczas dopiéro postrzegł się Morn, że trochę za prędko postąpił. Sto luidorow, były czwartą częścią całego majątku jego. Zamyślił się i pokiwał głową. Prawda, że Anglik miał nayszlachetnieyszy wyraz twarzy, i wcale nie wyglądał na jednego z tych ichmościów, co to niekiedy szczęścia probują. Z tém wszystkiém, sto luidorów czwartą część całego majątku składały, i te pożyczyć nieznajomemu — postępek dosyć nierozważny!— „Cóż robić“ pomyślał sobie: „On mię nie oszuka. A choćby i tak, to pierwsze dla mnie zdarzenie; drugi raz już tego nie będzie,“

Kiedy północ nadeszła, Anglik znowu chodził po swoim pokoju i płakał. „Ten człowiek

nieszczęśliwszy jest odemnie, pomyślał Kazimierz: to nie pieniądze są jego łez przyczyną. Wszakże mu dam pieniędzy.“

Przy obiedzie, Dunkan, chociaż, jak zawsze, mówił nie wiele, jednakże był przystępnieyszy. Kiedy milczał, w rysach jego twarzy wydawała się jakaś niewyraźna tęsknota; lecz kiedy mówił, ożywiała się twarz jego i zupełnie był nie ten, co wprzódy. Rozum i nadzwyczayna przyjemność wydawały się natychmiast. Kazimierz uczuł nayżywsze przywiązanie ku niemu: i pomimo ciągłey oziębłości Anglika, tkliwie się nim zaymował, szukał rozmaitych sposobów, jakby go rozweselić, i nakoniec potrafił tego dokazać, że razem zaczęli chodzić na przechadzki. Natenczas serca ich zbliżyły się do siebie. Dunkan był człowiek delikatnie wychowany, miał wielki rozum i nauki. Dzieła mędrców starożytnych i nowszych, losy i prawa narodów, były nayulubieńszym ich rozmów przedmiotem. Natenczas także dowiedział się Kazimierz, że Dunkan przez jakieś smutne zdarzenie porzucił wyspę oyczystą, i szukając ulgi dla siebie puścił się w podróż po świecie. Wieczorami, kiedy Morn był wolny od zatrudnienia, Dunkan przychodził do niego, kazał swoim służącym przynieść ponczu, i rozmawiaiąc bawił do pożney nocy. O wiadomey pożyczce nie było ani wzmianki.

Kazimierz tak mocno pokochał nowego przyjaciela, że prawie pierwszy raz poznał moc przyjaźni. Do Karoliny pisywał ciągle tylko o nim, i nawet nieco zawiści w niey wzbudził.

Skoro dostał pieniędzy, natychmiast zaniósł je Anglikowi, który napisał kartę, i podając je-

mu razem z adresem swojego domu w Anglii „to na przypadek tylko“ rzecze; „Gdybym umarł w ciągu kilku tygodni nie wypłaciwszy długu, wtenczas poszliy do Londynu kartę razem z tym listem.“ Potém czule uścisnął swego pomocnika w potrzebie.

Kiedy przyszedł czas rozstania się, oba poczuli, może z niemałą dla każdego z nich pociechą, jak ściśle w krótkim czasie przyjaźń ich złączyła.

Przy pożegnaniu, w milczeniu, ze łzami w oczach, uścisnęli się nawzajem, i tak się rozstali.

Imieniny Xiążęcia.

Kazimierz wszędzie czuł jakąś pustynią na około siebie, kiedy już Dunkana przy nim nie było. Stracił w nim osobę, z całey duszy ulubioną: przyjaciela, z którym nayściśley, naytkliwiey był połączony: gdyż oba, pomimo różnych stosunków ze światem, jednakie mieli o nim wyobrażenie.

Praca wtenczas stała się konieczną dla niego potrzebą: w niey znaydował rozrywkę i ożywienie. Ale prawdziwą roskosz czuł tylko myśląc o Dunkanie i Karolinie— „Jakżem szczęśliwy! mówił sam do siebie: mogę kochać nayszlachetnieysze osoby i poić się drogiém uczuciem wzajemney ich miłości“

Po siedmiu miesiącach bezprzestanney pracy, czynność nadwornego radcy Biterblata ukończoną została. Kommissya za powrótem do rezydencyi otrzymała hoyne pochwały. Elektor na dowód zupełnego zadowolenia swojego obda-

rzył prezydenta orderem *zasługi*; a obu radcom kazał podwyższyć roczną płacę. Tylko o biednym sekretarzu Mornie nikt ani pomyślił. Zapomniano o nim: chociaż rzeczywiście jemu cała nagroda należała.

Jednakże prezydent Biterblat i oyciec jego, tayny radca, okazywali wdzięczność Mornowi, często zapraszając go na obiady. Siostra prezydenta bardzo upodobała Kazimierza, i gdyby mu tylko nie brakowało szlachectwa, na całe życie mógłby swóy los zapewnić. Ale skoro tayny radca zrozumiał, że młody Morn więcey jego córkę zaymuje, niżeliby tego spokoyność oyca życzyła, coraz rzadziey zaczął go zapraszać do siecie, a potém i wcale już nie zapraszał. Morn jeszcze raz z trwogą napomknął o tych nadziejach, jakie mu na wyjeździe z kommissyą czyniono.. „Spuść się na mnie, rzekł Biterblat, iużem nie raz namieniał Xięciu Elektorowi o twoich zdolnościach niepospolitych. Poczekaymy imienin J. X. Mości; wtenczas zazwyczay rozdają się nagrody. Twoje nazwisko pewnie będzie naypierwsze w rzędzie zasłużonych. Uspokoiwszy Morna tym zapewniającym tonem, radca Biterblat dodał nakoniec pytanie, jakieby mieysce naydogodnieysze mogło bydź dla niego? Kazimierz, nie chcąc już więcey rozstawać się z Karoliną, powiedział bez ogródek, iż życzyłby w rezydencyi służyć. „Może i to jakkolwiek zrobimy, rzecze Biterblat. Wolałbym wprawdzie takiego, jak WPan człowieka, widzieć na jedném z naypierwszych mieysc w nowo przyłączoney prowincyi; lecz jeżeli chcesz koniecznie zostać z nami, postaram się i o to. Zapewna tu

nie tak już łatwo znaleźć równie dobre, równie zyskowne mieysce, jakieby się tam obmyśliło. Ale poczekay! Ot może staremu radcy nadwornemu Waldersowi dadzą pensyą dożywotnią; więc na jego mieysce — jak myślisz o tém?"

— „Niczegobym więcey nie pragnął! odpowiedział Morn, zapłoniony z radości. „Bardzo dobrze, bardzo dobrze, dodał Biterblat z łaskawą, zapewniaiącą, miną.

Zima przeszła na przyjemném oczekiwaniu. Wdzięki i stałość Karoliny były niezmienne. A jeżeli zdarzało się niekiedy, że smutek przecisnął się do duszy Kazimierza; to — pocałunek, uśmiéch, spóyrzenie kochanki, znowu rozjaśniały twarz jego i napełniały serce nadzieją.

Przyszedł nakoniec miesiąc pożądany, a z nim i dzień imienin Jego Xiążęcey Mości. Dały się widzieć rozkazy podwyższenia stopni. Zaczęto rozdawać patenta. Mnóztwo winszujących jeździło po ulicach. Morn, cały dzień przesiedział u siebie, żeby posłaniec z kancellaryi Elektora nie chybnie zastał go w domu. Już nawet i gościniec dla niego, zawinięty w papierek leżał na biurku. Przyszło południe, nastąpił i wieczor. Sługa Kazimierza pobiegł do drukarni rządowey, i przyniosł rozkaz o podwyższeniu stopni, ale, w długim szeregu nazwisk nie było Morna. Nie przybywał i posłaniec, żeby omyłkę druku poprawić. Nadeszła noc ciemna: po całém mieście zaczęły się bale, zabawy, wieczory. O Kazimierzu, równie jak przedtém, nikt nie pamiętał i teraz. Siedział on samotny w cichym kącie swojey sofy, i płakał.

Smutne widoki.

Kazimierz przepędził noc w zgryzotach. Naypewnieysze nadzieje widocznie go zawiodły. Sześć lat przesłużył szczerze i gorliwie bez żadney zapłaty; same tylko obietnice były jego nagrodą. Lada kto wynosił się przed nim i dorabiał się majątku. Tak naprzykład syn taynego radcy Biterblata został kamer-prezydentem; a on tymczasem pracując usilnie, musiał swóy własny kapitał przeżywać. Już zostawało mu tylko dwa tysiące złotych, tylko dwa, to jest sposob do życia na dwa lata; a potém, choć w świat ruszać. Widział, że ani pracowitość, ani zdolność, ani usłużność, na nic mu się nie przydały. Nieuki albo nawet nikczemnicy wyprzedzali go, jeśli tylko mieli pieniądze lub opiekę; jeśli byli zręczni w intrygach i obrótach; jeśli umieli upadlać się i pochlebiać.

Morn postępował uczciwie i był godzien szczęścia; ale szczęście zdawało się dlań niedostępném. Przerażała go myśl, że cnota i uczciwe postępki prowadzą go tylko do żebrackiego kija.

Nie spodziewał się także, ażeby mógł otrzymać rękę Karoliny. Los, jakby umyślnie dla zadania mu naysroższych męczarni, obdarzył go wierną miłością. Cały jego byt społeczny mgła niepewności pokrywała. Samolubstwo ludzi, które szydząc z prawości duszy, wszystko wyłącznie dla siebie zagarnąć pragnie, odkryło się przed nim w nayszkaradnieyszey postaci. Wspomnienie chytrych pochlebstw i obietnic kłamliwych, jakiemi go przez lat sześć nayznacznieysze oso-

by uwodziły, wściekłość w nim zapalało. Wszystko, co wprzódy przebaczał: duch stronnictwa, chciwość zysku, nikczemna duma, zazdrość, potwarz godnieyszych lub szczęśliwszych czerniąca—wszystko to, w całym nieznośnym blasku swoim, jak dzień, stanęło mu przed oczyma.

Całą noc smutne uwagi nie dawały mu pokoju. Ranek zaświtał, a on jeszcze żadnego postanowienia nie zrobił na przyszłość dla siebie. Niepodobna było przy tak uszczuplonym majątku czekać przyzwoitszego mieysca. Mając liczne w rezydencyi stosunki i czując wartość swoję, wstydził się dłużey zostawać w nizkim obowiązku kancelarzysty, który zaledwo jedney osobie dawał sposób do życia. Wolałby zagrzebać się w samotnym ustroniu jakiey nędzney wioseczki, gdzieby nie był od nikogo znany—gdzieby żył z pracy rąk własnych. Już oddawał się nawet słodkim marzeniom, jakby tam przez całe życie, daleko od ludzi, myślał tylko, o Dunkanie i Karolinie, dwóch naylepszych istotach, pomiędzy milionami opłakanych ofiar naypodleyszych chuci.

Podług zaprowadzonego zwyczaju, należało Kazimierzowi iśdź z powinszowaniem do tych wszystkich, którzy otrzymali nagrody, i prosić ich o względy dla siebie. Lecz jego wzgarda i nienawiść ku ludziom były bardzo wielkie. Napisał więc do nowego kamer-prezydenta, że już dosyć państwu służył, i że odsyłając teraz wszystkie sprawy i papiéry u siebie zaległe, sądzi się bydź zupełnie wolnym od obowiązku.

To uczyniwszy, rzucił się na łóżko, zasnął mocno i długo.

Dzień urodzin.

Kiedy się przebudził, było już po południu. Podano mu dwa bilety i pęczek pierwiosnkow podśnieżnych. Wtenczas zaledwo przypomniał, że to był dzień jego urodzin — Westchnął głęboko.

Jeden bilet był od P. Prezydenta, drugi od Karoliny. Poznał rękę oboyga. „Naprzód co gorzkiego!" rzekł do siebie i otworzył list prezydenta. Wszelako jeszcze kryła się w nim tajemna nadzieja, że go nie zechcą utracić ze służby, że będą prosili o zostanie, że mu podadzą nowe, pewnieysze nadzieje, i nawet już w duchu przebaczał niewdzięcznikom. Lecz, kiedy zaczął czytać, nie znalazł, czego się spodziewał. Prezydent grzecznie tylko wyrażał, jak go mocno zasmuca oddalenie się Morna, oznaymował, że przyjął papiery, i zostawał nayniższym sługą.

Otoż nagroda za sześcioletnią pracę!" zawołał Morn, gniotąc w ręku odpis prezydenta. Wziął potem i rozwinął bilecik Karoliny. Dwa tylko wiersze w nim znalazł: — „Miéy ufność w Bogu, móy Kazimierzu! Dziś zacząłeś rok 28, a mnie już 21szy idzie. Nic jednak nie potrafi osłabić wierney i stałey miłości naszey."

Wyrazek *już*, który luba do liczby 21 przydała, zaburzył całkiem duszę Kazimierza. To dopełniło miarki zgryzot jego. Płakał i narzekał głośno; pęczek kwiatow przyciskał do ust i serca; w ponurym smutku leżał na sofie, jakby wygnaniec ze świata, od samego nawet losu zaniedbany. W tém mieście nie mógł przebywać już dłużey. Potrzeba było gdzie indziey szukać chle-

ba dla siebie. Różne tworzył układy; lecz zawsze to jedno naymocniey go bolało, że musiał rozstać się z przyjaciółką i towarzyszką swojego dzieciństwa. Długie mowy układał w myśli na jey pożegnanie.

Nadszedł wieczor, a Kazimierz jeszcze zamyślony siedział w pociemku. W tém zapukano do drzwi. Usłyszał głos wielu osób i poszedł otworzyć — Czterech ludzi pytają: gdzie postawić przyniesione dwa wielkie tłomoki. Na pytanie: do kogo one należą? była odpowiedź: do tego pana, co przyjechał pocztą. Morn zdziwił się zrazu; lecz natychmiast Dunkan przyszedł mu na myśl.

Zaledwo umieszczono przyniesione rzeczy, wszedł i sam podróżny. Tak jest, był to Dunkan. „Długo nie widziałem się z tobą" rzekł, rzucając się na szyję Mornowi—„pozwolisz więc, żebym mieszkał u ciebie. Zapewna możesz parę pokojów ustąpić dobremu przyjacielowi."

Nic równie w porę nie mogło przytrafić się Kazimierzowi, jak radośne przybycie Dunkana. Prawie oniemiał z poruszenia, i kiedy już nikogo z obcych nie było, znowu rzucił się w objęcia przyjaciela— „Mam tylko jeden pokoy z przepierzeniem; lecz i tym chętnie z tobą się podzielę. Bądź tu gospodarzem."

—„Jeden pokoy z przepierzeniem? powtórzył Dunkan zdziwiony. Dla czegoż tak mało?"

„Dla tego, żem nie bogaty."

—„Nie bogaty? a ja miałem ciebie za bardzo bogatego, kiedyś pożyczał mi sto luidorów prawie bez żadney pewności."

„Pożyczałem przyjacielowi, dosyć było tey

pewności dla mnie. Sto luidorow składały czwartą część całego majątku mojego; lecz gdybyś i więcey żądał, nie mógłbym odmówić, ponieważ byłeś w potrzebie.

Dunkan, milcząc patrzał na niego z podziwieniem. Potem, uścisnąwszy raz jeszcze, zawołał na sługi i kazał im w nayblizszym traktyerze czekać na jego rozkazy— „Ja zaś" rzekł do Morna „tu się zostanę. Dosyć mi będzie kątka za przepierzeniem."

Natychmiast wszystko rozporządzono. Usłano czystą pościel dla gościa. Kazimierz zaś tymczasem kazał zrobić wyborną wieczerzę i przygotować ponczu.

Dunkan teraz daleko był weselszy, niżeli podczas pierwszey znajomości z Kazimierzem. Przy ponczu siedząc do północy, dwaj przyjaciele zawarli z sobą przymierze braterstwa. Serca ich odkryły się nawzajem. Anglik miał w swojey oyczyznie kochankę, niezachwianie stałą dla siebie; lecz rodzice jey, przez familiyną nienawiść ku Dunkanowi, nigdy na ich małżeństwo zezwolić nie chcieli. Poznajomił potem ze swą lubą jedynego i naywiększego przyjaciela swojego, młodzieńca znakomitego urodzenia, który tylkoco zza granicy powrócił. Zdrayca ten, przyrzekłszy na jego stronę skłaniać rodziców, sam upodobał pannę, i zaczął starać się o nią. Nieszczęśliwa, pomimo wzgardy, jaką czuła ku niemu, będąc zmuszona oddać mu rękę, dniem przed szlubem umarła nagle, jak powiadano, od wziętey trucizny. Dunkan wpadł w rozpacz. Wyzwał na pojedynek wiarołomnego przyjaciela. Oba udali się do Kale. Dunkan szukał zemsty i wła-

sney śmierci: ostatnie to żądanie tylko co się nie spełniło: gdyż raniony ciężko stał już nad grobem. Przeciwnik uciekł do Ameryki. Niebezpieczeństwo Dunkana przeminęło: lecz głęboka tęsknota przy nim została. Lekarze radzili mu podróżować dla odmiany powietrza i rozrywki; urządziwszy więc interessa, puścił się na wędrówkę po świecie.

Kazimierz także opowiedział swoje położenie. Dunkan słuchał go pilnie i z uczuciem.

„Ty jesteś oszukanym tylko przez pospolitych nikczemnych samolubów“— rzekł Dunkan: „a mnie zdradził ten, którego od dzieciństwa za jedynego miałem przyjaciela. Twoja kochanka żyje; moja stracona na wieki. Tobie można dopomódz jeszcze; mnie już nigdy. Chociażbyś oddalił się na pustynią — ja póydę za tobą; jeżeli twoje postanowienie będzie niezmienne. Lecz tobie jeszcze dopómódz można, mnie niepodobna.

„Mnie dopomódz!“ rzekł Kazimierz z westchnieniem, załamując ręce i wznosząc wzrok do góry. „Ach kochany Dunkanie! ty mało znasz ludzi tuteyszego kraju“

„Ludzie tuteysi są tacy zupełnie, jak i w moim kraju. Daję ci słowo: jeżeli mi tylko nie będziesz przeszkadzał, ja ci dopomogę. Sknéra kramnik odda tobie córkę i swóy milion nawet. Wszystko to można bez czarów uczynić. Lecz żeby otrzymać piękną dziewczynę, nie trzeba być trwożliwym; żeby dostać milion, nie trzeba bydź ubogim; żeby pozyskać urzędy i znaczenie, nie zawsze trzeba bydź rozumnym, uczonym, pracowitym.

„Jakimże sposobem myślisz dokazać tego?“

—„Bardzo prostym. No, uderzmy się w szklanki. Przyrzecz nie przeszkadzać mi w niczém, kiedy całe miasto będę zwodził, jak na *prima aprilis* — Wszystko jednak uczciwie będzie zrobiono.

„Dobrze, Dunkanie, ale powiédz mi swoje zamiary.“

„Potrzeba tylko, żebym cokolwiek poznał, między jakimi ludźmi żyjesz. Muszę obeyrzeć pole, na którém mam walczyć za ciebie. Natenczas wszystko póydzie jak spłatka. Naprzód zaś chciey przyjąć ode mnie piękny koczyk wiedeński i mojego lokaja niemca; parę koni jutro kupię dla ciebie. Potém koniecznie codzień odbyway przejażdżki, ale beze mnie, żeby nie pomyślano, że to jest móy pojazd. Swojey lubey sąsiadce rozwiąż tę zagadkę, powiadając, że znaczny majątek w Anglii spadł na ciebie. Daley wszystko póydzie swoją koleją.

Kazimierz spuścił oczy i nie mógł wstrzymać się od uśmiéchu na wszystkie te bliktry. Lecz wprzódy dał już słowo Dunkanowi w niczém się nie sprzeciwiać, a przy tém mało dbał o to, na jakie zdanie w mieście zasłuży. Uda się, lub nie, wszelako nie miał już zamiaru przebywać w stolicy, ani nawet w całém państwie Elektora. Zresztą spirytus ponczu przyczynił się nie mało do łatwieyszego przystania na wszystko.

P o j a z d.

Nazajutrz równo ze dniem, Dunkan był już ubrany. „Muszę postarać się” rzecze, „żebyś

dzisia po obiedzie pokazał się w nowym pojeździe. Ach Morn! ty jeszcze możesz bydź szczęśliwym; ja nigdy" dodał ze łzami w oczach, uściskając Kazimierza. „Ale ty jesteś moim przyjacielem. W tém wielką pociechę znayduję. Z tobą spodziewam się bydź, jeżeli nie zupełnie szczęśliwym, to przynaymniey pocieszonym, spokoynieyszym."

Morn starał się go odprowadzić od przedsięwziętego zamiaru; ale Dunkan stale trwał w postanowieniu. Tym czasem Karolina Romanus pokazała się u okna z drugiey strony ulicy. Morn natychmiast wziął przyjaciela za rękę, podprowadził do okna i pokazawszy mu córkę milionowego, objął go i zaczął całować. Dobrze znajome jey nazwisko Dunkana, zaraz w znakach piśmiennych poleciało przez ulicę, i na odpowiedź zawieszony u szyby woreczek różowy, wyraził w ich języku: „cieszę się z całego serca."

— „Dalibóg!" zawołał Dunkan, obaczywszy czarującą twarzyczkę sąsiadki, „nasze układy nie mogą bydź tylko ponczowym szałem!" Wyszedł natychmiast i przez cały ranek nie powracał. Wkrótce lokay jego, Felix, przyszedł z ofiarowaniem usług nowemu panu i prosił o naznaczenie obowiązków i zatrudnień dla siebie.

„Nie zapominay o głównych: o wierności i przywiązaniu" rzekł Kazimierz.

— „Przekonam, że jestem uczciwy" odpowiedział Felix: „a skłonić mię do przywiązania, będzie to rzeczą pana."

Podobała się ta odpowiedź. Felix został przy-

jęty na teyże umowie, na jakiey u Dunkana zostawał.

Około południa oznaymiono Mornowi wizytę Hrabiego Krebsa.

„Na samprzód muszę ci powinszować, kochany przyjacielu! żeś nabył parę gniadoszków moich" zawołał Hrabia wchodząc: „Piękną zrobiłeś kuplę! prawdziwie, sprawnego masz *homme d'affaire!* zna się, jak cygan, na koniach. Ale wybacz, móy szanowny panie, że w obecności twojey gorzko zapłaczę. Jak dwie źrzenice w oczach, kochałem parę tych gniadoszków: gdyby nie krytyczny stan finansow moich; nie wziąłbym za nie całey stayni Elektora."

— „Ale czy zapłacono Hrabiemu, albo może ja winienem" wybękał Morn zarumieniwszy się zupełnie.

„Wszystko skończono, wszystko" przerwał Hrabia. „Nie o to idzie. Przyjechałem wcale w innym zamiarze. Co panu przyszło do głowy, kupować majątek Barona Walperna, to nędzne Dreyleben? Ręczam, że nie będziesz miał ani półtora procentu. I on śmié prosić sto pięćdziesiąt tysięcy złotych! Czy widziałeś pan już ten majątek?

— „Nie, Mości Hrabio!"

— „Chciey więc tylko zobaczyć, zaklinam na wszystko, co masz nayświętszego dla siebie, chciey tylko zobaczyć. Jaka to pustynia! daleko naokoło nié masz ani jedney wioski; z okien nic nie widać oprócz Renu; za domem tylko las i góry. Jeżeli chcesz, móy kochany przyjacielu, kiedyś w łeb sobie zapalić, to zgoda, kupuy Dreyleben. Ale spodziewam się, że przy

takim majątku, jakim teraz szczęście pana obdarzyło, zapewna zechcesz mieć coś lepszego. Z całego serca życzę mu dobrze, i dla tego natychmiast tu przyleciałem. Kiedy się podoba, ja mogę ustąpić móy śliczny majątek, prawdziwy ray ziemski, śród pól rozległych, rola jak w ogrodzie; lasy, winnice, łąki, zabudowanie, warte są widzenia! wszystko to oddam za dziewięćdziesiąt tysięcy złotych na gotowe pieniądze. Pomyśl sobie, ćwierć mili od miasta. Na same budowle wysypałem więcey, jak — zaraz, za pozwoleniem; mam to zapis nie — eh, do licha! zapomniałem w domu na biurku. — Ale racz tylko zobaczyć, móy łaskawco; naylepiey byłoby, gdybyś mię odwiedził — prawdziwie, pojedziemy do mnie na wieś!"

Krebs ciągle bredził w tym tonie, a Morn, domyśliwszy się, że Dunkan rozpoczął już swoje *prima aprilis*, obiecał natychmiast po obiedzie przyjechać do Hrabiego, jeżeli czas pozwoli. Hrabia pożegnał go, powtarzając przysięgi i zaręczenia dozgonney przyjaźni.

Przy obiedzie Dunkan był bardzo wesoły, Morn przeciwnie. „Ty we mnie wzbudzisz tylko, jeszcze mocnieyszą wzgardę ku ludziom!" rzekł on do Dunkana. „Tenże sam Hrabia wprzódy nie raczył spóyrzeć na mnie. Zdumiałem się, kiedym go zobaczył u siebie."

— „To wina ludzi, a nie moja, że są tak nikczemni i podli" rzekł Dunkan. Dla mnie wszystko jedno, bylebym się tylko zbliżył do twojego serca. Skorom w traktyerze, gdzie moi sładzy mieszkają, zapytał o konie, gospodarz wnet nastręczył mi Hrabiego Krebsa. Konie

wistocie warte są tego, co zapłaciłem za nie. Traktyernik, jak tylko usłyszał, że para gniadoszkow kupiono dla ciebie, że ty stałeś się bogatym, nie znaydował dosyć słów na pochwałę twoich cnót i przymiotów. Zacząłem poźniey wypytywać się o majątek do nabycia. Zawołano maklera, który natychmiast dziesięć mi ich zalecał. Hrabia Krebs wynosił ciebie pod niebiosa, dowodził, że już dawno powinieneś bydź pierwszym ministrem; że wtenczas wszystko inaczeyby poszło w elektorstwie. Mnie ten figiel niezmiernie bawi. Poprowadzę rzecz daley, i jestem pewny, że to nam na dobre wyydzie."

Po obiedzie zajechał przed ganek Morna śliczny koczyk naynówszego kształtu. Hrabia Krebs nie darmo przybierał się płakać po swoich gniadoszkach: była to para naypięknieyszych koni. Morn wsiadł do pojazdu. Jego Felix w żółtey barwie ubrany stanął za koczem.

Na całey ulicy zrobił się ruch między ludem. Nigdy przed domem, gdzie mieszkał exreferendarz, nie widziano równie wspaniałego pojazdu. Wszyscy sąsiedzi z ciekawością oczekiwali, kto do niego usiędzie. Kiedy nakoniec pokazał się Morn, kiedy klasnęły drzwiczki za nim i żarstkie konie poniosły go jak w tryumfie, wtenczasto ze wszech stron szmer powstał. Ma się rozumieć, że i Karolina wysunęła przez okno swoję białą twarzyczkę.

„Oddałbym te sześć kreycarow, żeby mi kto powiedział: czyy to pojazd i sługa" rzekł stary Romanus do córki, trzymając w ręku sześć kreycarów, tylko co wziętych za śledzia.

— „O tém się łatwo dowiedzieć można" odpowiedziała Karolina. „Pani Weber, u którey mieszka Morn, stoi jeszcze przy bramie."

„Prawdę mówisz, nie ma za co płacić!" rzekł Romanus, chowając do kieszeni swoje sześć kreycarów, i poszedł do sąsiadki.

— „Dla Boga!" zawołała P. Weber: „do kogoż ma należeć, kiedy nie do samego P. Referendarza. Alboż nie wiecie jak on zabogaciał. Niech mu Bóg daje, co naywięcey: jest to naylepszy, kochany człowiek. Całemi wozami przywieziono mu z Anglii pieniędzy. W naszym kraju nié masz teraz równego jemu bogacza. Zaczął handlować, i dobrze mu się poszczęściło. To mi mówił jego sługa, który słyszał o tém od angielskiego kupca, mieszkającego teraz u P. Referendarza."

Romanus rzucił zpode łba na Panią Weber wzrok przenikający, i nie mógł wymówić ani słowa, jak gdyby mu paraliż język odebrał. Powrócił potém do kramu i w zamyśleniu siedział na swojem krześle skórzaném. Wnet Karolina zbiegła po wschodach, i podskoczywszy do oyca, zapytała, co usłyszał. Długo nic nie odpowiadał: bo o Mornie, nigdy bez konieczney potrzeby nie lubił wspominać: nakoniec zawołał z głębokiem westchnieniem: „takiemu hultajowi, ulicznemu włoczędze, synowi łotra, który mnie oszwabił, szczęście samo się nabija; a ja, poczciwie zarabiając na kawał chleba, muszę dzień i noc pracować, drżeć nad każdym kreycarem! gdzież tu sprawiedliwość? czémże zasłużyłem na to? przy tych słowach tylko co nie zapłakał; ale zastanowiwszy się, rzekł zno-

wu: „Bóg wié jeszcze: czy to prawda? wozami pieniądze! hm! z Anglii! hm! handlował! hm!. Nie, Pani Weber, mnie nie tak łatwo oszukać! To mówiąc okręcił swoję czarną peruczkę trzy razy koło głowy, i zaczął trzeć ręce tak mocno, iż się tylko co nie zapaliły.

Nowy, modny, pojazd Referendarza, był powodem do wielu podobnych rozmów po całey stolicy. Sam Elektor nawet postrzegłszy go przez okno, zapytał: do kogo należy? Tayny radca Biterblat odpowiedział, że się mu zdawało, jakby exreferendarz Morn w nim siedział. Pogadano trochę i wkrótce zapomniano o tém.

Milionowy.

Nazajutrz powszechny szmer rozpoczął się znowu. Chociaż Dunkan powiedział kilku tylko osobóm, z któremi wszedł w stosunki robiąc interessa przyjaciela, że Morn dostał w Anglii ogromny majątek; lecz kiedy się kto wywiaduje o naylepszym folwarku do nabycia, kiedy po pańsku rozwala się w pięknym pojezdzie, wtenczas ten wyraz *ogromny*, ogromnieyszego jeszcze nabywa znaczenia. Hrabia Krebs, mający zwyczay mówić o wszystkiém w stopniu naywyższym, zaklinał się i przysięgał, że Morn jest naywiększym bogaczem w całém elektorstwie, że milionowy, że sto tysięcy u niego fraszka, że w Zachodnich czy Wschodnich Indyach całe prowincye posiada.

Niczemu ludzie tak łatwo nie wierzą, jak rzeczom trudnym do wierzenia. Nic im nie kosztuje pogardzać prostym uczciwym człowie-

kiem, pomimo wszystkich cnót jego; a krzykacza lub głupca, uważać za nayzacnieyszego w świecie. Naśmiewają się z uczonych, a tłumem dorodni i mali, biegną za ulicznym kuglarzem, za drugim Kaliostro, pokazującym mniemane cuda. Gdyby rozeszła się wieść, że sto tysięcy znalazło się u Morna, jeszczeby powątpiwano o tém, ale miliony, jakże nie wierzyć!

„Czy uważasz papo?" rzekł kamer-prezydent do swojego oyca, taynego radcy Biterblata: „teraz się pokazało, dla czego on porzucił referendarstwo. Ja z początku myśliłem, że się obraził za niepamięć o nim, kiedy wszystkim rozdawano nagrody."

— „Zapewna, to nic do rzeczy, że zapomniano o nim" rzekł tayny radca. „Lecz któż mógł przewidzieć? A nie zle byłoby i dla twojey siostry, gdyby go podwyższono. Mnie się zdaje, że ona nieobojętną jest względem niego. Przytém i lata — źle będzie, kiedy ją policzą między podżyłe. Nie spodziewam się, żeby już lepiey poszła, jak za milionowego."

— „I dla nas wszystkich, papo. Czy nie można tego jakkolwiek naprawić?

Naradzili się więc z sobą. Tayny radca korzystając z pierwszego zdarzenia, wspomniał Elektorowi o zdolnościach i zasługach byłego referendarza: przekładał, że takiego człowieka należałoby utrzymać w państwie, tém bardziey, kiedy on nabył ogromny majątek przez bankierskie obróty i handel akcyami, kiedy mówią o milionach, szkoda byłoby takie summy wypuścić z kraju.

„Dziwi mię to mocno" rzekł Elektor: „że

ten Morn tyle was obchodzi, skądże te nagłe pochwały dla niego? Już i minister Rabe z uniesieniem mówił mi o nim."

Te słowa przeraziły Biterblata: wiedział bowiem, że minister finansów także ma córkę w latach i potrzebuje pieniędzy.

„Rabe dowodził nawet" mówił daley Elektor: „że Morn, będąc sekretarzem kommissyi w nowo nabytych prowincyach, wszystko bez wyjątku sam jeden robił, a inni przywłaszczyli chwałę i nagrodę."

Biterblat nie zmienił wymuszonego uśmiéchu na twarzy; chociaż tylko co nie osłabł ze strachu i złości, a w duszy poprzysiągł wieczną nienawiść ku ministrowi Rabe.

Tymczasem minister finansów posłał zapraszając Morna do siebie, i kiedy ten przybył: „Jakże się cieszę" rzekł do niego, że nakoniec spełniły się naygorętsze moje żądania.

Ty masz nieprzyjaciół, móy kochany. Długo oni działali przeciw tobie. Zdziwiło mię to niezmiernie, kiedym się dowiedział, że i ostatnią razą minęła ciebie nagroda. Poleciałem natychmiast do J. X. Mości, opisałem mu twoje zalety, napomknąłem, że ty właściwie zasłużyłeś na mieysce kamer-prezydenta, które ci wydarł syn Biterblata, i przemogłem wszystkie podstępy. Na moje wdanie się J. X. Mość raczył umieścić ciebie w moim wydziale. Panie radco skarbu, mam honor złożyć w twoim ręku dyplomat na ten urząd."

Morn, nie rozchylając papieru, w milczeniu położył go na stole, podziękował potém ministrowi za jego pamięć łaskawą i nie bez gorz-

kiego uśmiéchu, wymówił się od nowego urzędu."

Zaledwie powrócił do siebie, zaraz odwiedził go tayny radca Biterblat. „Przyszło nakoniec mnie samemu szukać ciebie, kochany przyjacielu!" rzekł on uścikając Morna: „Mnie się zdaje, że już Bóg wié, jak wiele lat nie byłeś u mnie. Czyliż to mamy zapomniéć jeden o drugim? Bardzo się smucę, że Rabe pośpieszył przede mną umieścić ciebie w swoim wydziale. Do końca życia nie przebaczę mu tego. Ale, *à propos*, moja córka jutro daje bal dla swoich przyjaciół i przyjaciółek. Żądała koniecznie, żebym ja sam zaprosił ciebie. Spodziéwam się, że jey nie odmówisz i zechcesz nas odwiedzić."

Jednakże Morn odmówił. Z oziębłą grzecznością przyjął oświadczenia Biterblata, i zostawił mu więcey niepewności, niżeli nadziei. Takie postępki rozjątrzały nienawiść Kazimierza ku ludziom. Zaczął pogardzać wszystkimi, i chciał czémprędzey uciec na pustynią, żeby już więcey nie bydź codziennym świadkiem tak rozmaitego zepsucia. Pochlebstwa mocniey jeszcze zapalały gniew jego. Im bardziey go wywyższano, tém bardziey czuł się poniżonym.

„Nędzni!" mówił on do Dunkana. „Czyliż myślą, że równie jestem podłym i nikczemnym, jak oni? Moje sześcioletnie prace i zasługi nic nie znaczyły: a sama wieść, żem zabogaciał, zupełnie przemieniła stan rzeczy. Chociażbym był głupim, niegodziwym, zbrodniarzem, bylebym miał miliony, gotowi mi przypisać rozum, cnoty i zasługi. Ta komedya staje się dla mnie przykrą, Dunkanie!"

— „A mnie ona bawi” rzekł Dunkan. „To jeszcze nie koniec, kochany Mornie, potrzeba żeby piękna Romanus została twoją.

Zwycięztwo.

Wprzód, niżeli się spodziewali oba przyjaciele, już śliczna Karolina, należała do nich. Stary Romanus, który przedtém ani słowa nie mówił o Mornie, teraz nigdy go z ust nie wypuszczał. Względem miliona nie było już żadney wątpliwośći, skoro rozbiegła się wieść po mieście, że Morn odrzucił znaczny urząd mu ofiarowany, a Rabe z Biterblatem, chcąc go każdy mieć za zięcia, śmiertelnymi jeden dla drugiego stali się nieprzyjaciółmi.

— „Czyż to pewna, że się on żeni z córką Biterblata?” rzekła Karolina, udając zasmucenie, żeby wybadać myśli swojego oyca.

Stary nic nie odpowiadał, tylko przebierał sobie palce, jakby robiąc trudny rachunek.” Wieleż ona może mieć posagu?” odezwał się po niejakiémś milczeniu: „Głupstwo! co oni dadzą, wszystko zmarnotrawili. Za to jedno lubię Morna, że uczciwym sposobem dorobił się majątku. Jednakże jego oyciec był oszust, zrobił mnie biedakiem. Teraz i trzydziestu kreycarów nie odbiorę.”

Wtém zapukano do drzwi, wszedł Dunkan. Karolina cała się zapłoniła. Romanus wyciągnął szyję i wytrzeszczył oczy.

„Mam do pomówienia z panem Romanus o jednym interessie” rzekł Dunkan. „Spodziewam

się, że WPan będziesz wyrozumiałym. Przyniosłoby to niemałą korzyść dla niego."

— „O interessie? Do usług pańskich, do usług pańskich, móy dobrodzieju! proszę siadać."

„Pan Morn, którego interessami w Anglii urządzać dotąd miałem honor, chciałby już wypocząć sobie, posiadając tyle, ile mu potrzeba do życia."

— „Wypocząć! ey! ey!"

„Oglądał on majątek Dreyleben nad Renem, i chciałby go nabyć."

— „Dreyleben? ey! ey! Dla czegoż Dreyleben? Majątek duży, będzie kosztował drogo, drogo."

„Mnie się zdaje, że nazwisko bardzo podobało się P. Mornowi: *Mieszkanie dla troyga*! Właśnie mówił jednego razu, że wistocie chciałby tam mieszkać we troygu. To jest sam, żona i przyjaciel, którym raczył mię mianować."

Karolina znowu się zarumieniła i musiała obrócić się do okna.

„Ale prawdę mówisz panie Romanus. Baron Walpern bardzo wielką cenę naznaczył. Żąda sto pięćdziesiąt, a jeżeli na gotówkę, to sto trzydzieści tysięcy złotych. Chociaż P. Morn zapłaci gotówką"

— „Gotówką? ey! ey!"

„Z tém wszystkiém cena zbyt wielka, i dla tego życzyłbym, żeby ktokolwiek umiejący targować się lepiey, dobił mu tey kupli. Obiecuje za to pośrednikowi po sto złotych od każdego tysiąca ubitego na cenie. A ponieważ jest pewnym, że w całém mieście nie masz zdatnieyszego do takich rzeczy człowieka, jak P. Romanus

— „Do nog upadam! ja nie lubię komplementów."

— „Jeżeli więc WPan będziesz łaskaw podjąć się"

— „Naychętniey!"

„P. Morn ubolewa przytém, że WPan już od kilku lat żyjesz z nim nie dobrze."

— „Tak: były maleńkie nieporozumienia."

„Mówił mi, że niegdyś chciał swóy kapitalik do WPana handlu przyłożyć, zamiast tego, coby miał do Anglii posyłać; że myślał potém przyjąć WPana do spółki swoich obrótow, ale obojętność WPana

— „Co do licha! powiadam, że to były same fraszki."

„Alebyś WPan z tego miał profit!

— „Na témże grunt, móy panie! lecz cóż robić, kiedy P. Morn nie raczył mnie biedaka, ani słówkiem zaszczycić. Zeby choć to przyszło mu na myśl, że nieboszczyk oyciec jego zupełnie mnie zgubił."

„Ale pomówmy jeszcze o Dreyleben i o tém, jak WPan myślisz rzecz poprowadzić."

Długo rozdąsany Romanus, nieodpowiadając chodził wprzód i wtył, a potém odezwał się nakoniec: „Jakkolwiek mały to profit: ale poczciwy kupiec w teraźnieyszych ciężkich czasach nie powinien niczego upuszczać z ręki."

Za tydzień targ został skończony. Profitu wypadło około tysiąca złotych. Romanus z całego serca uradowany, poszedł sam do Morna z oznaymieniem o kupli.

„No!" rzecze uśmiéchając się z niejakiémś

pomieszaniem, „bądźmy znowu w dobrey przyjaźni.”

— „Zyczę tego nade wszystko” odpowiedział Kazimierz z żywością. „Spełniy tylko moje żądanie, chciey uszczęśliwić mnie i Karolinę.”

„Nie, Panie Morn, jeszcze do tego daleko! alboż nie mówiłem, że pański oyciec przyprowadził mnie do żebrackiego kija.”

— „Wszelako nie jesteś jeszcze tak ubogim.”

„Nayubóższym, powiadam WPanu, nayubóższym w świecie! WPan zostałeś teraz bogaczem, i gdybyś miał choć iskierkę wspaniałości, choć kroplę politowania, powróciłbyś mi majątek, którego mnie pański oyciec pozbawił.”

— „A wtedy?”

„A wtedy, jabym na kolanach dziękował panu.”

— „A córka?”

„Tak, ale procent za lat siedm?”

— „Gdyby i te były oddane?”

„O! natenczasbym po całém mieście sławił, jaki pan dobry, jaki wspaniały człowiek!”

— „Ale Karolina?”

„Tak, tak, i o tém nie należy zapominać. Wszakże w złocie te ośm tysięcy talarow dałem oycu pańskiemu. Wszystko były ważne luidory i karoliny! Ach gdybyś je Pan widział! Boże odpuść moje ciężkie grzechy, nie chcę przeklinać nieboszczyka; ale dusza wzdryga się kiedy wspomnę o tém.”

— „A kiedy dam WPanu tysiąc karolinow, za jedną Karolinę.”

„Za jaką?”

— „Za córkę WPana.”

„Przepraszam móy panie, mnie się zdaje, że z procentami wypadnie około dwóch tysięcy karolinów.

– „Może nie pożałuję i dwóch tysięcy, kiedy mnie oddasz Karolinę i"

„Doprawdy Panie Morn żartujesz sobie; a mnie dalibóg nie wiele potrzeba, musiałem pozaciągać długi. O! bankrutctwo pańskiego oyca, bardzo mnie zgubiło. Teraz nie mogę niczego dać po córce, oprócz tey sukienki co ma na sobie."

— „A jeżeli i na tém przestanę."

„Tedy mi zostaje tylko, zapytać u córki."

Kiedy Romanus wyszedł, Morn nie posiadając się z radości, jak szalony rzucił się na szyję Dunkana. Oba od łez wstrzymać się nie mogli.

Majątek Dreyleben został kupiony, intercyzę ślubną napisano, i tydzień upłynął, a piękna Romanus, była pięknieyszą jeszcze Panią Mornową. Ma się rozumieć, że Dunkan wcześnie przygotował dla nich wygodnieysze mieszkanie w jednym z naylepszych domów stolicy.

Prima aprilis.

„Trzeba, żeby figiel był zupełny" rzekł Anglik. „Teraz całe miasto tobie się kłania, kochany Mornie. Przewróćmy kartkę. Ja ogłoszę, że jesteś ubogi; dopomóż mi tylko. Wtenczasto dadzą się widzieć nowe grymasy! a kiedy napatrzymy się do woli, ruszymy do Dreyleben i będziemy żyli samotnie. Barona Walperna już namówiłem do mojego zamiaru. Twóy teść,

sknera, zasłużył, żeby go ukarać trochę za żydowski profit.”

Wrzeczy saméy: całe miasto, jak Anglik powiadał, kłaniało się nowemu panu milionowemu. Ale: któżby z ludzi, przywykłych od dzieciństwa złoto i przepych cenić nad wszystko, mógł śmiało stanąć przed zacnym młodzieńcem, mającym milion złotych, wieś śliczną i naypięknieyszą żonę, i żeby się nie ugiął pod ciężarem czci i uszanowania, chociażby miał kark żelazny? Każdy cisnął się do pana pan Morna; każde usta dawały jemu ten przydatek szlachetności, chociaż on jeszcze na nie przywileju nie miał. Ministrowie, szambelani, hrabiowie zapraszali go na swoje uroczystości, na których bywała i familia Elektora. Kazimierz ze swoją piękną żoną, miał szczęście bydź przedstawionym Ich Xiążęcey Mości, Obóygu Elektorstwu, i rozmawiał z nimi. We wszystkich tych hołdach nie widział on nic pochlebnego dla siebie: bo znał, że nie jemu, ale jego mniemanym bogactwom były oddawane. Takie względy uważał za naywiększą podłość, nayhaniebniey poniżającą ludzi, którzy cenią człowieka według tego, co on ma, nie zaś, czém jest wistocie. Ale musiał przez czas niejakiś, mimo chęci, tak czynić, jak jego przyjaciel Dunkan wymagał.

„Wierz mi” rzekł do niego nakoniec: „już mi cierpliwości nie staje,” i natenczas Dunkan powiedział wyżey wspomnione słowa: Trzeba żeby figiel był zupełny. Ogłoszę, że jesteś ubogi.

Jeszcze w ostatnich dniach marca, Dunkan z twarzą posępną, namieniał tu i ówdzie o nie-

pomyślnych listach z Anglii. Potém zaczął rozgadywać, że Morn większą część swojego zysku stracił na inném przedsięwzięciu; że powinien, ile możności, ograniczyć swoje wydatki; że to jeszcze całe jego szczęście, iż w stolicy ma wielu mocnych przyjaciół. Baron Walpern przebękiwał także, że przedaż majątku bardzo zle poszła, że Morn nie ma czém zapłacić. Tymczasem panowie młodzi zmienili swoje obszerne, wspaniałe mieszkanie na inne. Wszystko to w naykrótszym czasie rozeszło się po mieście, i urosło dodatkami złośliwych języków. Kiedy zaś przyszedł dzień pierwszy kwietnia, jakkolwiek wtenczas nie łatwo wierzą wszystkim nadspodzianym nowinom; jednak o ubóztwie Morna nikt już nie powątpiwał: wiedziano bowiém, że sam raniutko jeździł od jednego do drugiego z przyjacioł swoich, i prosił to o pieniądze, to o porękę, to o wdanie się do Elektora, żeby mógł jakie porządne mieysce otrzymać. Wszyscy ci, którzy wczora obsypywali go względami, przysięgali mu na przyjaźń i prawie dusili w swoich objęciach — teraz dziwili się, przerażali się tak nagłą zmianą okoliczności. Ten ubolewał grzecznie, ów wymawiał się oziębłe, inny dotkliwie żartował, że znikł czarnoksięzki świat jego — i żaden nie wspomógł ani pieniędzmi, ani poręką, ani staraniem. U Biterblata zmnieyszono nawet wieczerzą, na którą państwo Mornowie byli zaproszeni.

Lecz naygorzey było staremu Romanusowi. Baron Walpern, w towarzystwie jednego z nayznakomitszych adwokatów, przyszedł do niego i żądał, jako od pośrednika przedaży majątku

Dreyleben, zapewnienia sobie opłaty. Chociaż Romanus nie ręczył się na piśmie za Morna, wszelako, żeby targ przyspieszyć i odebrać swóy profit, dosyć wyraźnie oświadczył, że w przypadku, gotów sam zapłacić za niego. Ani mu na myśl wtenczas nie przyszło, żeby kiedykolwiek była tego potrzeba. Już niepomyślne wieści o złém powodzeniu Morna w Anglii, mocno go zatrwożyły, a niedostateczne odpowiedzi, jakie odbierał od niego, kiedy się chciał zapewnić o tey rzeczy, nie mogły go uspokoić. Teraz zaś, kiedy przyszedł Walpern z adwokatem, kiedy nie było żadney wątpliwości o upadku zięcia, kiedy nawet wymagano przyrzeczoney zapłaty — zginął zupełnie. W kilka godzin po odwiedzinach barona, ruszył go paraliż i wieczorem nieszczęśliwy sknéra przeszedł do wieczności: bo żadną miarą nie chciał wezwać lekarza.

Dreyleben.

Ta śmierć nagła zupełnie zmieniła stan rzeczy. Romanus zostawił ogromne pieniądze, większe, niżeli spodziewano się nawet. Morn teraz rzeczywiście stał się milionowym, za jakiego dotąd tylko Dunkan go ogłaszał. Chociaż majątek Dreyleben na imie Morna był kupiony, jednak za pieniądze Dunkana, i podług umowy osobno między przyjaciołmi zrobioney, należał do Anglika. Dunkan również prawie, co Morn, nienawidząc ludzi, postanowił w oddaleniu od nich spokoynie pędzić życie, i razem z przyjacielem, pośród miłey samotności, mieszkać w nowo-na-

bytey wiosce. Kazimierz miał bydź tylko rządzcą majątku: bo i od przyjaciela nawet nie chciał darmo dobrodzieystw przyymować: a chociaż teraz stał się bogatszym od niego, jednak to na stosunki między przyjaciołmi żadnego wpływu nie miało.

Nowy ten wypadek, jakby czarnoksięzką laską, zmienił zupełnie sposób myślenia całey stolicy. „On chciał zażartować z nas na *prima aprilis*" mówili mali i wielcy, i znowu zaczęli odwiedzać Morna. Przywozili mu pieniądze, ofiarowali poręki i starania, słownie i listownie powtarzali tysiące przysiąg i uręczeń o stałey, naygorętszey przyjaźni. Znowu zaczęto dawać dla niego bale i bez granic wylewać się na grzeczności.

Na tenczas rzekł Morn: „Już dosyć napatrzyłem się wszystkich podłości! Idźmy Karolino, idźmy Dunkanie, w nasze ustronie, unikaymy od tych obłudnych, nikczemnych ludzi. Nie mogę żyć tu dłużey. Dosyć mię oszukiwali, czegoż się mam jeszcze od nich spodziewać? Na cóż mam bydź jeszcze świadkiem ich podłości i samolubstwa? Bądź mądrym jak Salomon, dobrym jak Anioł, poświęcay się dla ludzkości, bądź nayużyteczniejszym, nawspanialszym człowiekiem, ale bądź przy tém ubogim, a będziesz wygnanym zpomiędzy ludzi. Każdy głupiec, każdy złoczyńca, każdy oszust, będzie wyżey cenionym nad ciebie, jeżeli tylko ma pieniądze.

Skoro rzeczy względem spadku zostały ułatwione, dom i towary nieboszczyka Romanusa sprzedane, natychmiast Morn z żoną i przyja-

cielem udał się do Dreyleben i już odtąd nie widziemo go w stolicy.

W sześć lat potem zdarzyło się mi bydź w rezydencyi Elektora. Wiedząc oddawna, że Morn służył tam w obowiązku referendarza, cieszyłem się nadzieją, widzenia się z dawnym towarzyszem nauk. Przybywszy do miasta, natychmiast zacząłem wypytywać się o nim. Rzadko kto mógł już przypomnieć jego nazwisko. Nakoniec powiedziano mi, że ten półgłówek, mieszka w Dreyleben, napełnia swóy trzos złotém, jak niegdyś Romanus, i pomimo ogromnych bogactw, nic nie wydatkuje, i z nikim nie zabiera znajomości.

Jak tylko mi okoliczności pozwoliły, kazałem zaprządz konie i ruszyłem do Dreyleben. Ranek był piękny. Jadąc, z radością myśliłem sobie, jak zadziwię tego dziwaka; lecz ubolewałem nad tém, że on razem z pieniędzmi i skępstwo kramnika odziedziczył.

Pomiędzy długiémi łanami żyżney roli jechałem ku lasowi, który, jak powiadano, otaczał zamek, leżący nad Renem. Zbliżywszy się postrzegłem, że ten las, był obszernym gajem nakształt ogrodu podkrzesanym. Wodospady, kwiatniki, szpalery, błędne ścieżki, świątynie, altany, rozwaliny, marmurowe posągi, zdobiły go obficie. Wszystko to zapewna nie bez małych kosztów było zrobiono. Zamek, albo raczey nakształt zamku, zbudowany dom wieyski, wyglądał zpomiędzy kasztanow i wyniosłych włoskich topoli. Wszędzie, gdzie tylko wzrok sięgnął naokoło, od łączek zielonym kobiercem pociągniętych, aż do krużganków, wśród poma-

ranczowych drzewek, ozdobionych marmurowemi posągami, panował smak naydelikatnieyszy z wytwornym przepychem połączony. Skępstwa nie było tu śladu.

Zajechałem przed ganek. Natychmiast wybiegł bogato ubrany sługa, i kiedym go zapytał o Panu Mornie, ubolewał, żem się spóźnił trochę: gdyż Państwo wyjechali rano, i chyba za dni kilka powrócą. Z nieukontentowaniem ruszyłem na powrót. Za tydzień znowu odbyłem tę podróż, i znowu napróżno; Państwa także nie było w domu. Powróciwszy do miasta, użalałem się w jedném towarzystwie na niepomyślność odwiedzin moich: „Zjezdzisz WPan jeszcze dwadzieścia cztery razy i zawsze będzie toż samo" odpowiedziano mi natenczas: „Moglibyśmy wcześnie mu to przepowiedzieć. Ktokolwiek do nich przyjeżdża, nikogo nie przyymują. Zdaleka przez lunetki wyglądają, gości każą odprawiać. Słudzy nawet są tak nauczeni, że kiedy tylko postrzegą obcego człowieka, zaraz Państwu donoszą."

Powziąwszy taką wiadomość, napisałem do Morna, że się chcę z nim widzieć, i bydź wyjątkiem od przyjętego przezeń prawidła. Wkrótce odebrałem grzeczną odpowiedź z doniesieniem, że dla mnie będzie on w domu. Jednakże naznaczył dzień i godzinę, kiedy mam przyjechać do Dreyleben.

Morn ze swoją żoną wyszedł, aż do gaju, na moje spotkanie. Oboje przyjęli mię z taką uprzeymością, jakiey po tém wszystkiém, co było, wcalem się nie spodziewał. Zaraz poznajomili mię ze swoim przyjacielem Dunkanem. Nie upły-

nęło czterech godzin, kiedy już zupełna poufałość była między nami. Przyymowano mię jak w monarszym pałacu: bo też i samo mieszkanie z monarszym przepychem było wewnątrz przybrane. Tu, lśniły się w kosztownych oprawach wybornieysze dzieła starożytnych i nowszych pisarzy. Tam, szereg pokojów zdobiło to wszystko, cokolwiek naydoskonalszego sztuki piękne wydać mogły. Owdzie sala muzyczna, dano dla mnie koncert, daleko lepszy, niż zazwyczay bywają koncerta amatorskie. Większa część służących, od sekretarza aż do ogrodnika, zaymowała się muzyką. Młodzi gospodarze domu, mieli dwoje kwitnących dziatek. Dunkan był nieżonatym i postanowił całe życie tak przepędzić.

„Czyliż w istocie jesteście szczęśliwi w waszem pięknem ustroniu?" zapytałem jednego wieczora kiedyśmy wszysey siedzieli w ogrodzie.

Morn uśmiéchnął się i rzekł: „Czemuż nie? Stworzyliśmy dla siebie świat udzielny i to nas uszczęśliwia, że o innym świecie, który wielkim nazywają, nic nie wiémy. My z dziećmi naszemi składamy nayzupełnieyszą całość, co nie jest z nami złączone, to nas wcale nie obchodzi. Dosyć, że się z gazet dowiadujemy o ludzkich spr. wach i słabościach. Lecz za to napawa nas roskoszą, czytanie dzieł znakomitych gieniuszów, czytanie tego, co oni myślili, marzyli i czuli. Cokolwiek naywznioślejszego sztuki i umiejętności wydadź mogą, to wszystko nas otacza. Czegoż nam jeszcze do szczęścia ma brakować? Towarzystwo, skażonych, zepsutych, podłych, samolubnych ludzi, pomieszałoby tylko świętą spokoyność naszą i wciągnęłoby nas do

uczęstnictwa opłakaney ich doli. Szczęśliwy, kto może oderwać się od świata i żyjąc w samotności, z daleka, jakby w teatrze, patrzeć na jego zaburzenia.

To zdanie zrodziło żywą rozmowę o istotnych stosunkach mędrca z ludzką społecznością, i wtenczasto, Morn opowiedział mi historyą swoją i Dunkana, jak ją wam powtórzyłem.

— „Ale mając tak obfite środki" rzekłem do Morna „jakże dobroczynnie mógłbyś działać na wszystko, coby ciebie otaczało! Czyliżbyś nie czuł większego szczęścia, gdybyś, zamiast tworzenia ze swoich bogactw ziemskiego raju dla siebie, innym także pozwolił z nich korzystać?"

Kazimierz smutnie pokiwał głową i rzekł: „Czegoż żądasz po mnie? Pieniędzmi nikogo uszczęśliwić nie można, lecz tylko czynnością i mocą władz umysłowych. Ale nikt nie wymaga tego. Czyliż ja sam nie poświęciłem naypięknieyszych lat mojego życia w nadziei zyskania szacunku i miłości? Czyliż nie często widzieć można w pałacach i chałupach, panowania zmysłowych chuci, samolubstwa i próżności? O cóż naybardziey pytają na świecie: czy o cnoty i zdolności człowieka? Nie! o pieniądze, dostoyność i urodzenie. Alboż rzadko to bywa, że nayniegodnieysi intryganci dopinają u nas (*) naywyższych zaszczytow; a poczciwi w tłumie zarzuceni marnieją? Czyliż nie zawsze, jak świat światem, naydobrotliwsi, nayużytecznieysi dla ludzkości mężowie, cierpieli prześladowanie od niewdzięcznego pospólstwa? Miałżebym takim po-

(*) Mówi tu cudzoziemiec o swoim kraju.

tworóm, dla próżnych urojeń, oddać na ofiarę, moję spokoyność, moje krótkie szczęśliwości chwile? Nie, ja kocham człowieka; ale z całey duszy ludzkich występków nienawidzę."

Morn coraz się bardziey zapalał. Dunkan i Pani Mornowa wśpierali jego zdanie. Nie mogłem przekonać tróyga mizantropów, i dla tego zamilkłem. Mieli oni cokolwiek słuszności; ale sądzili, że ją zupełnie mają. Nawrócić ich niepodobna było, a dłuższym sporem tylkobym zasmucił; bo wyraźnie dawało się postrzegać, że wszystkie te trzy osoby były zbyt drażliwe. Gdyby Russo miał miliony, z rozjątrzoném swojém sercem, ze smutném wyobrażeniem o świecie, żyłby podobnie we Francyi, jak Morn nad Renem, i naywiększe bogactwa w jego ręku, byłyby tylko środkiem do łatwieyszego dogodzenia wymysłom jego samolubstwa.

Koniec części pierwszey.

POEZYA.

Oskar.

Noc była, wszystko spało — xiężyc tylko blady
W drżącém świetle niepewne dnia odznaczał ślady.
Milczenie, cały przestwór zaległo natury,
Niekiedy wicher tylko, wybiegłszy zza góry,
Pomiatał suchym liściem, po przestrzeni świata,
Jak los w zawodzie życia, człowiekiem pomiata.
Zresztą wszystko uśpione, wśród głębokiey nocy,
W śnie lubym, do prac nowych, nowey brało mocy.
Oskar tylko, sam Oskar, w ciężkich bolów zbiorze,
Wśród snu wszelkiéy istoty, znaleźć snu nie może.

Nieszczęśliwa namiętność, tłocząc serce skrycie,
Zdarła mu powab z świata, i zatruła życie.
Obdarzony z wspaniałey przyrodzenia ręki,
Wzniosłém czuciem, fortuną, znaczeniem i wdzięki,
Tém wszystkiém, co jest życia roskoszą i chlubą,
Co gmin szczęściem nazywa — a co szczęścia zgubą —
Przyniosł światu swe serce, wzniosłe od powicia,
Serce, z którego tylko chciał ssać słodycz życia.
Gdy dręczon czczością duszy i myśli tęsknémi,
Już szukał roskosz nieba, na śmiertelnych ziemi,
W ognistey wyobraźni, żywém uniesieniu,
Znalazł je, znalazł wkrótce— w Celiny spóyrzeniu!
W zapale namiętności, jak we wszystkiém wielki,
Gdy zgubny jad kochania wyssał do kropelki,
W jedney chwili — przyszłości obrazem przejęty,
Z szczytu nieba, spadł nagle w piekielne odmęty.
— Stał Oskar zamyślony, wsród ciemności mroku;
Posępny, jak duch nocy— co zszedłszy z obłoku,
Cichém tylko milczeniem, i jęki cichémi,
Złowróżbé przeznaczenie przepowiada ziemi.
Stał długo, jak głaz grobu milczący, ponury:
Czasem tylko — gdy xiężyc weyrzał zpoza chmury
I bladawe rostoczył promienie w około,
Wzniosł ku niemu rozpaczą zachmurzone czoło.
Tu podobnym się zdawał do myśli żałoby,
Która, obiegłszy wszystkie zwaliska i groby,
Zmordowana podróżą, swey oyczyzny, świata,
W końcu, do kraju szczęścia, do niebios, ulata.
Westchnął wreszcie, — i cichość natury grobową,
Tonem zimney rozpaczy, taką przerwał mową:
Pocóż człowiek chce szczęścia, w tém żyjących kole,
Gdzie zawarte są tylko nędze i niedole,

Gdzie płaci chwilę roskosz, wiekiem niepokoju?
Niestety! jam go szukał w nayczyściéyszym zdroju!
Jam go w sercu chciał znaleźć,— bo serca słodycze,
Jedyniem brał za czyste, trwałe, niezwodnicze.
Młodemu, — świat się w wdzięki ukazał bogatém,
Na com tylko wzrok rzucił, było wonnym kwiatem,
Z czary swobód ssąc życie,nie wiedząc o żalach,
Gmach przyszłościm budował na uczuciów falach,
A dręczony niezbędną kochania potrzebą ,
Uyrzałem mą Celinę.... i uyrzałem niebo!
Z oczu lubey kochanki pijąc nektar bozki,
Gdym w nich utopił pamięć i duszę i troski,
Nie wiedziałem niestety,żem z losu kolei,
Kochając z wzajemnością, kochał bez nadziei.
Gdy więc nagle raz w przyszłość myśl zwróciłem całą,
Jam pozostał z miłością . . . lecz szczęście skonało!
Tak to, jedno uczucie, co człek żywi słaby,
Może zatruć nadziei i świata powaby,
Może obalić szczęście, którém tchnął jedynie,
I z żyźney ziemi życia uczynić pustynie!
Serce! skałą bądź raczey, bądź martwą opoką!
Byś, nie czując, co czujesz teraz zbyt głęboko,
Patrzyło z zimną wzgardą, z zimnieyszym rozumem,
Na uczucia, co dręczyć przyydą ciebie tłumem.
I cóż na tém zyskałem, żem ich słuchał głosu?
Strącony teraz z nieba przemiennością losu,
W ognistego tartaru, bezdenne otchłanie,
Jedną tylko myśl tulę, jedno mam żądanie,
Bym jak nayprędzey wolę wyroku dokonał,
Uyrzał lubą kochankę, raz westchnął, i skonał.—
Umilkł. Żal mu gwałtowny stłumił w piersiach (tchnienie,
Już to było ostatnie bolu wysilenie!

Żądał ulgi w cierpieniu, żądał łez potoku;
Lecz łzy dawno już w martwém skamieniały oku!
Rzucił wkrótce rodzinę i rodzinne progi,
A milczącey rozpaczy tuląc pocisk srogi,
Poszedł... i tak gdzieś poszedł w krainę głęboko,
Że go nigdy już ludzkie nie widziało oko;
Pewnie gdzie przeznaczenia wyroku dokonał,
Uyrzał lubą kochankę, raz westchnął, i skonał.

Henryk Cieszkowski.

Westchnienie.

Drogą boleści i znoju,
Koło żywota się toczy,
Zaledwo w życia napoju
Dziecina usta umoczy,
Już łaje, westchnień potrzebą,
Jeszcze łaskawe jey niebo.
Już przeczuwa przeznaczenie;
Cóż więc, człowieka w żałobie,
Dręcząc w każdey życia dobie,
Nie opuszcza aż przy grobie?
Westchnienie tylko, westchnienie!

Dwa serca, Niebios wyrokiem,
Zbliżyła losu zawiłość:
Ledwo wzrok się spotkał z wzrokiem,
Już je wspólna łączy miłość.
Zmilkły usta, bo nad słowa,
Wymównieysza oczu mowa,
Głuche z obustron milczenie;
Lecz cóż je nagle przerywa?
Cóż mimowolnie odkrywa,

Co na dnie serc ich spoczywa?
Westchnienie, tylko westchnienie!

Przed trybunał Panów Pana,
Gdzie spowiedzi kapłan słucha,
Pada grzesznik na kolana,
Korząc przed Bogiem swym ducha;
Lecz choć wielkie jego grzechy,
Nie odchodzi bez pociechy,
Czuje duszy odrodzenie;
Lecz cóż to w duszy zdziałało?
Cóż go z Bogiem pojednało?
Nowe życie, w życie wlało?
Westchnienie, tylko westchnienie!

Tego od kraju, od braci,
Zdala burza losu miecie,
Tamten w smutnym zgonie traci,
Co mu drogiém było w świecie,
Ten znów cierpi w sercu rany,
Że kochając niekochany;
Każdy czuje udręczenie,
Każdy nieszczęścia rozwodzi;
I cóż w tych cierpień powodzi,
Jeszcze ich cieszy i słodzi?
Westchnienie, tylko westchnienie!

Idąc wśród losów mych śladu,
Jeśli duszę mojey duszy,
Ani miłość bez przykładu,
Ani wierność moja wzruszy,
Nie tylko srogie rozpacze,
Lecz śmierć nawet jey przebaczę,
A gdy zniknie z ust mych tchnienie,

Chciałbym tylko, by w żałobie,
W jakiey smutney życia dobie,
Uroniła na mym grobie,
Westchnienie tylko, westchnienie!

Tegoż.

Do E.*** *Elegia S. S.*

Nie z urody — bo mi los w tym względzie niehoyny,
Powierzchowney krasoty odmówił uroku;
Nie z dostatków — bo kątek szczupły i spokoyny
Rocznym dochodem potrzeb nie przenosił roku;
Nie z Bellony rzemiosła; ni z dostojeństw blasku,
Mogłem się sercu twemu, naymilsza, zalecić:
Urojeń lśniące gmachy stawiane na piasku
Nie zdolneście zazdrości w duszy wieszcza wzniecić! —
Cóż przecie tayną serca podżegało śmiałość?
Łudziło, że doścignę szczęśliwości mety? — (łość.
Chcesz wiedzieć? — w oczach świata, jak i w twoich, ma-
W mych oczach, dar naywiększy: — uczucie poety —
Zdróy żywy, co go piekieł pożar nie wycieńczy,
Iskra święta, nadludzką wzniecająca dzielność,
Którey promień, gdy skronie młodzieńca uwieńczy,
W lazurowém mu świetle wróży nieśmiertelność!
Nieśmiertelność! Zawiści niedostępna hydrze —
Bo wprzód pryśnie oś ziemi, i z nią w odmęt runie,
Nim przemoc zasłużoną chwałę wieszcza wydrze;
Wyrok mu ją na światów zapisze całunie.
Próżno go, na tym nędzy i płaczu padole,
Miłość zdradza, tłum wrogów udręcza poziomy;
Do lutni swojey rzeknie: — ty me ulżysz bole —
Do wawrzynu: — w twym cieniu nie dóydą nas gromy —
I zanuci; a jego nieśmiertelne pienia

Wieki ówczesne wiekom ostatnim przekażą:
Czyje imie do swego przykuje imienia
Już tych ogniw kły twarde czasu nie rozważą.
Gwoli jego potomność przysądza zaszczyty:
Złych w otchłani—cnotliwych nad gwiazdy umieszcza . . .
Potomność też oceni zaciętość kobiéty
Która lutnią i hołdem pogardziła wieszcza. —

Do teyże — Elegia tegoż.

Czy tę łzę widzisz, która z mego oka
Ukaże, gdy je na ciebie podniosę? —
Patrzay!... lecz próżno! — nie mięknie opoka
Choć niebo na nią śle kroplistą rosę.

Czy słyszysz głuche mey piersi westchnienie,
Jak jęk o skałę roztrąconey fali ? . . .
Przecięż, choć falę wiatr na skałę żenie,
Twarda się nad nią bryła nie użali! —

Czy widzisz bladość zwiędłey moyey twarzy?
Pożądanego skonu wróżka cicha.
Tak, gdy ją ciągle skwarne lato żarzy,
Na zeschłey błoni topola usycha.

Miłośney pastwy katusze niezbędne
Rwą życia mego dni niegdyś złocone,
Nito wezbraney rzeki wody błędne
W nagłym napływie rwą brzegi zielone..

Epigrammata *Ignacego Legatowicza.*

1.

Ktoż ma więcey i litości
I chrześciańskiey miłości
Nad skępców? Oni, ja sądzę,
Przed Bogiem zasługi liczą:
Przez wiek zbierają pieniądze
Dla tych, co im śmierci życzą.

2.

Któż się dziś nędzą porusza?
Kto dziś jest o ludzkość dbały?
Wrócił się wiek Orfeusza:
Czułe są drzewa i skały.

3.

Pytasz się mądry Jakóbie,
Które z dzieł twych bardziey lubię?
Wyznam, w życiu nie kłamałem,
To, którego nie czytałem.

4.

Raz pasibrzuchów gromada
Rozwodziła się szeroce,
Co się nayprędzey przyjada?
Tén, prawi, mięso, owoce;
Ów zwierzyna, tamten ryby,
Ten mleko, a ów tam grzyby.
Gdy trwa sprzeczka nieskończona
Przerwał ktoś: Panowie! żona.

5.

Jan, że pił zrana do zmroku,
Dostał zapalenia w oku.
Natychmiast lekarza prosi:
Ten rzekł: »na złe się zanosi;
»Trzeba pić . . . « — rzekł Jan: ślubuję,
Że będę pił rok i więcey.—
»Tyzannę kilka miesięcy.«
— Tyzannę? bardzo dziękuję,
Piękny dla mnie upominek,
Niech głupi w tyzannie mokną,
A ja wolę stracić okno,
Byle ratować budynek.